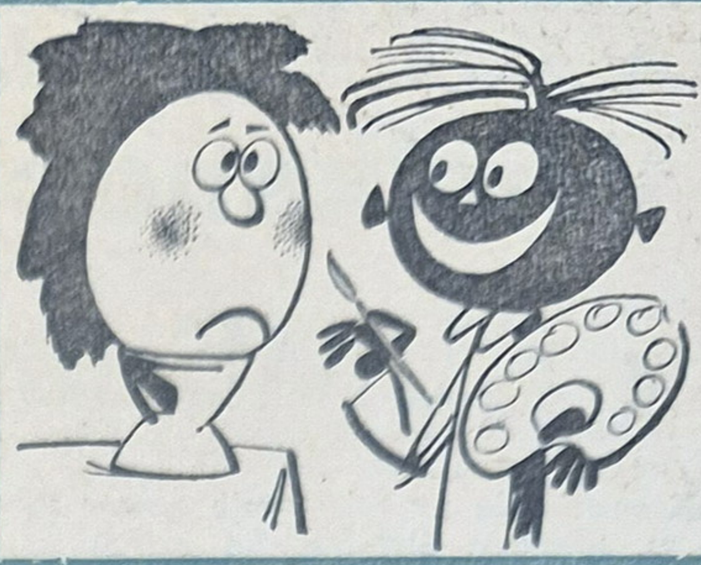

— Strzałka wskazuje kierunek, ale co znaczy ta reszta?...

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

NR 32-33 (2232–33) | 20—24 kwietnia 1973 r. | CENA 1 ZŁOTY

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA

CZEŚĆ!

Pewnie pomyśleliście, że wyklułem się z jajka jak kurczak! Nic podobnego. Upozowałem się tak specjalnie, żeby Wam złożyć wiosenne życzenia w imieniu całego naszego zespołu.

Wesołych Świąt!

RZEP

Pssst... Ściśle tajny rozkaz: Zabierzcie koniecznie na pierwsze wędrówki dobry humor i „Świat Młodych"!

Wielkanoc z BUMSem

Dziś specjalnie na tej stronie gazety zgromadziliśmy materiały o BUMSie. Bo z BUMSu początkowo niewielkiego zrobił się nam BUMS ogromny, kolosalny, ogólnokrajowy.

Przed nami — wiosenne ferie. Nie przerywamy „bumsowania" — ale robimy je świątecznie — relaksowo i rodzinnie. Tak jak wam radzimy na tej stronie.

BUMS pogodnej sprzyja wiośnie: co zasadzisz — to urośnie.

(Foto: Bumspstryk)

Pisanka - niespodzianka

NA KAŻDYM STOLE PISANKA ZE ZNAKIEM

WSZYSTKICH Morowych Sowizdrzałów, uczestników BUMS, gorąco zachęcam do namalowania sobie pisanki z „firmowym znakiem" BUMS. Wyobraźcie sobie, co to będzie za radość, gdy stuknięcie się pisankami w święta z członkami swojej brygady, którzy także przygotowują takie pisanki! Dziś podajemy wszystkim najprostszy sposób wykonania BUMSowej pisanki.

● **Przygotujcie pisak — szpilkę krawiecką z rozklepanym łebkiem. Wbijcie ją ostrym końcem w tępy koniec ołówka.**

● **Przygotujcie metalowe pudełeczko blaszane np. po kremie (dobrze umyć i wysuszyć!). Posłuży wam do rozpuszczenia w nim wosku lub parafiny (ze świecy).**

● **Narysujcie sobie na papierze napis BUMS! oraz inne ozdoby, słowem to, co chcecie namalować później woskiem na pisance.**

● **Ugotujcie jajka na twardo. Ostudźcie je prawie do temperatury pokojowej. Każde jajko przetrzyjcie lekko szmatką zwilżoną octem. Osuszcie bardzo czystą ściereczką.**

● **Rozgrzejcie wosk lub parafinę w pudełku tak, by przez cały czas malowania wzoru miała wysoką temperaturę (naczynko może stać np. na brzegu kuchni lub na rozgrzanej lecz wyłączonej płytce kuchenki elektrycznej).**

● **Zanurzajcie przygotowany pisak w wosku i dość szybko wykonajcie na jajku napis i ozdoby. Uwaga: starajcie się nie dotykać palcami zastygniętych „malowideł" z wosku.**

● **Zakupioną w drogerii farbę do jajek przygotujcie zgodnie z przepisem. Wystudźcie ją do temperatury pokojowej i włóżcie jajka do farby. Gdy nabiorą koloru, wyjmijcie je i po przeschnięciu zetrzyjcie z nich wosk szmatką przesyconą gorącą wodą. Wosk się rozpuści, pozostawiając jasny napis BUMS i ozdobne ślady a roztarty po skorupce nada barwie pisanki żywość i blask.**

BUMS – NA ROWER!

ROWER to nasza propozycja na feryjne dni dla wszystkich członków BUMS. Propozycja mająca dwie dobre strony:

po pierwsze — jest sporo czasu na przegląd naszych „stalowych rumaków";

po drugie — można wyjechać na dłuższy „rajd w słońce".

Ale zanim ruszysz w teren, przypominamy ci, że prawidłową jazdę gwarantuje tylko taki rower, który jest dostosowany do wzrostu turysty. Robi się to w sposób następujący:

● Ustawia się siodełko tak, aby noga siedzącego oparta o pedał przy najniższym położeniu pedału była lekko zgięta w kolanie (rys. 1).

● Opuszcza się kierownik roweru na taką wysokość, by jego rączki znajdowały się na jednej linii z płaszczyzną siodełka (rys. 2).

● Siodełko przesuwa się na wsporniku tak, by po włożeniu ręki między siodełko a kierownik — łokieć dotykał szpica siodełka, palce — kierownika (rys. 3).

● Właściwa sylwetka rowerzysty-turysty przy takim przygotowaniu roweru pokazana jest na rys. 4 (kreskowana).

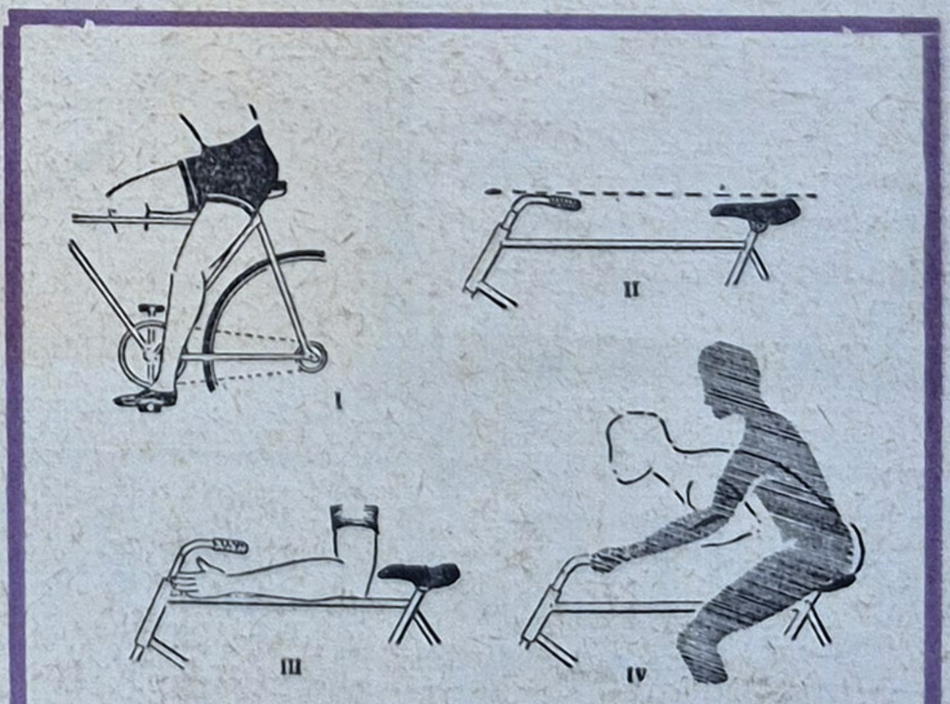

Po „zimowym śnie" radzimy oczyścić rower z błota, rdzy i kurzu, naoliwić części trące — a więc piasty, mechanizm przekładni, pedały, łańcuch oraz mechanizm główkowy kierownika. Skasować wszystkie niepotrzebne luzy — tylko uwaga — nie za mocno naciągać łańcuch.

Radzimy też sprawdzić opony i dętki, skontrolować czy gumki w wentylach nie są przetarte. Jeśli tak — wymienić je na nowe.

Sprawdzić hamulce, dzwonek, pompkę, odbłysk („czerwone światełko") na tylnym błotniku i — w drogę po słońce i świeże powietrze!

Jak zrobić śmigusówkę?

JEDNI nazywają ten zwyczaj śmigusem, inni lanym poniedziałkiem — ale wszyscy wiedzą, że chodzi tu o tradycyjne oblewanie krewnych i znajomych w poniedziałek wielkanocny. Aby tradycji stało się zadość, podajemy sposób wykonania najprostszej, ale jakże skutecznej śmigusówki. Przy pewnej wprawie daje cienki strumień na odległość kilku metrów. Co ważniejsze — jest dość pojemna.

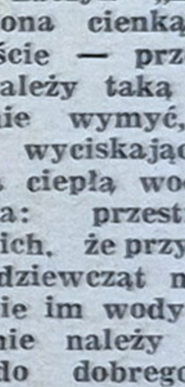

Nasza śmigusówka — to po prostu plastykowa butelka po szamponie do włosów lub po płynie do mycia naczyń „Ludwik", zakończona cienką rurką. Oczywiście — przed użyciem należy taką butelkę dokładnie wymyć, kilkakrotnie wyciskając z jej wnętrza ciepłą wodę.

Uwaga: przestrzegamy wszystkich, że przytrzymywanie dziewcząt na siłę i wlewanie im wody za kołnierz nie należy w tym roku do dobrego tonu. Wszyscy uczestnicy BUMS mają prawo nazywać osobników, którzy tak postępują, „żałosnymi siłaczami".

ŚWIĄTECZNY ROZKAZ KAPITANA BŁYSKA

Z okazji Świąt Wielkanocnych i wiosennych ferii przesyłam wszystkim uczestnikom BUMS — Błyskawicznej Unii Morowych Sowizdrzałów — najlepsze życzenia.

Jednocześnie rozkazuję wszystkim członkom BUMS:

1. Pomóc w domu przy świątecznej krzątaninie, a szczególnie przy froterowaniu podłóg, świątecznych zakupach, kręceniu ciasta, myciu z kurzu kwiatów na oknie.

2. Wykorzystać w praktyce przynajmniej jedną z zawartych na tej stronie rad i wskazówek.

3. Dobrze wypocząć w czasie ferii.

Nasza akcja trwa. BUMS zatacza coraz szersze kręgi. Polecam śledzić uważnie następne numery „Świata Młodych".

Komendant BUMS
Kapitan BŁYSK

Gdzie jest błąd

Klub Nastolatków otrzymał ponad 300 listów, w których zajmujecie stanowisko w sprawie Joanny i jej klasy.

Dla tych, co nie czytali poprzednich odcinków wyjaśnienie. – Cała klasa Joanny uciekła z klasówki, ona jedna została bo chciała poprawić stopień. Efekt – klasówka odbyła się później, klasa, oprócz Joanny, otrzymała obniżone stopnie ze sprawowania. Od tamtej pory wszyscy się od niej odsunęli, nie rozmawiają z nią, nie wtajemniczają w żadne sprawy. Joanna czuje się nieszczęśliwa.

„JEDEN ZA WSZYSTKICH..." INACZEJ

Nasza klasa nigdy by nie uciekła z żadnej lekcji, a zwłaszcza wtedy, gdyby miała się odbyć klasówka. Wcale nie dlatego, że „co się odwlecze to nie ucieknie" jak głosi przysłowie, ale dlatego, że zbyt lubimy swoich nauczycieli, by sprawiać im takie niespodzianki.

Nasza klasa jest zgraną paką, która potrafi uszanować osobę każdego z nas wraz z jej zaletami, humorami, załamaniami i wyskokami. Ważne jest, że będąc członkami tej samej klasy wszyscy czujemy się za nią współodpowiedzialni, właśnie w myśl zasady „jeden za wszystkich — wszyscy za jednego".

Klasowa „torpeda"

CZAS, KTÓRY NIE POWRÓCI

Kiedy chodziłam do klasy szóstej, też często przebywałam na wagarach, dlatego zmarnowałam rok nauki, czego teraz bardzo żałuję. W tej chwili jestem w klasie ósmej i dopiero teraz zrozumiałam czym jest nauka dla człowieka.

Krystyna

CO WYBRAĆ?

Utarło się porzekadło: „jeden za wszystkich — wszyscy za jednego". Różnie to przysłowie można tłumaczyć.

Joanna miała trudny wybór. Z jednej strony „sztama" z klasą, z drugiej zaś szansa poprawy stopnia, czyli własny sukces. Jestem uczennicą II kl. LO i doprawdy nie wiem, jak powinno się postąpić. Chociaż wydaje mi się, że poprawa stopnia jest sprawą ważniejszą. Nie wiem nic o rodzinie Joanny, o jej rodzicach, o tym, jak reagują na złe stopnie córki. Klasa też nie wnika w takie sytuacje domowe. Ale jeśli za złą ocenę Joanna zostałaby pozbawiona zabawy lub rodzice nie kupiliby jej nowej bluzki, o której marzy, to wtedy co? Czy w takiej sytuacji można ją winić?!

Iwona

BŁĄD WYRÓWNANY BŁĘDEM

Nie można w tej sprawie wydać jednoznacznej opinii. Wcale nie popieram wagarów, ale gdyby cała klasa zdecydowała się na ucieczkę, nigdy nie zostałabym w szkole.

Klasa postąpiła źle, po prostu dziecinnie, klasówka i tak nikogo nie ominie. Uważam jednak, że Joanna też jest winna. W klasie obowiązuje solidarność bez względu na konsekwencje.

Przypuszczam, że nauczycielka też nie nabrała różowej opinii o Joannie widząc ją samą w klasie. Każdy człowiek był uczniem, nauczyciel też, i wie, co to solidarność.

Jestem zdania, że błąd popełniła klasa i błąd popełniła Joanna. Między tymi błędami stawiam znak równości.

Marta

NIEPRAWDA

Piszą niektórzy, że „jeden za wszystkich — wszyscy za jednego", ale w naszej klasie za jednego klasa nie zgodziłaby się ponieść konsekwencji.

Uczennica

FRAJERZY?

Niemądra jest ta klasa Joanny. Na wagary najlepiej chodzić nie w stadzie, ale w mniejszych grupach, po 2—3 osoby. Wtedy nie rzuca się to tak bardzo w oczy, nie ma z tego powodu żadnej draki i nikt nie jest poszkodowany. Nonsensem jest uciekanie z klasówki — tego to już naprawdę nie da się ukryć.

Witold

NIESPRAWIEDLIWOŚĆ

Gorąco radzę Heńkowi, aby znalazł sposób przekonania mamy, że lekcje są ważniejsze niż praca w polu, a w sytuacji naprawdę awaryjnej lepiej zgłosić się do nauczyciela i zwolnić niż w ogóle nie dać znać o sobie. Po co ktoś ma myśleć, że on dobrowolnie wybiera wagary zamiast lekcji. Ciekawe, czy ktoś mu pomógł w pracy domowej, by mógł pójść jak inni uczniowie do szkoły? Jedni chodzą na wagary z głupoty, inni z przymusu. Gdzie tu sprawiedliwość?!

Robert

ABC WAGARÓW

Aby ostatecznie rozstrzygnąć sprawę Joanny trzeba odpowiedzieć na pytanie — kto i dlaczego wagaruje?

Moja propozycja pociąga za sobą zmianę tytułu dyskusji — nie „Gdzie jest błąd?", ale „ABC wagarów".

Monika

A co wy sądzicie na ten temat? Czekamy na listy! Na kopertach nie zapomnijcie zaznaczyć tytułu dyskusji –

„GDZIE JEST BŁĄD"

(oprac. R. Jabłońska)

Foto: K. Adamowski

c.d. str. 5

ILONKA, do domu!

Lwiczka Iza podczas karmienia kładzie się na boczek. Jej brat Irus woli jeść na siedząco.

Co jest najmłodsze w gronie nowo narodzonych? — zapytaliśmy podczas pierwszej wiosennej wizyty w warszawskim ZOO.

— Proszę chwilę zaczekać — powiedział wtedy pan dyrektor **Zbigniew Woliński**, po czym poszeptał z jednym ze swoich pracowników. I rzeczywiście już po chwili pojawiło się przed nami... wielkie, kremowe zniesione przed dwoma dniami jajo!

— Ptaki bardzo rzadko rozmnażają się w niewoli. Trzy strusie afrykańskie mamy już trzeci rok, a dopiero teraz doczekaliśmy się ich jaja. To pierwsze waży 1 kg 16 dkg, zaś następne (może ich być 8 od jednej samicy) będą już cięższe...

— Trzeba wiedzieć, że od jaja do pisklęcia droga długa — dodaje pani inż. **Sławomira Lepianka**, kierująca działem hodowlanym, zapraszając mnie do obejrzenia piskląt emu, (innego gatunku strusi), które pod opieką taty przebywają z dala od zwiedzających.

— Rola samicy w tym przypadku polegała tylko na zniesieniu jaj. To samiec je potem wysiadywał przez 52 dni, nic prawie w tym czasie nie jedząc. Małe mają już 6 tygodni. Ojciec będzie je wodził aż do jesieni. Dopiero wówczas agresywną teraz w stosunku do dzieci matkę połączymy ze stadem.

IRYSEK — LEW PIESZCZOSZEK

Urodzony 17.II. oraz jego dwie siostry: Ida i Iza też nie najlepszą otrzymały od losu mamę. Bo lwica Kluska, choć rodzi często, nigdy nie chce się opiekować małymi.

— Zaraz po urodzeniu trzeba je zabierać i wychowywać sztucznie przy pomocy butelki ze smoczkiem — mówi z kolei pani mgr **Marta Łazarewicz**, asystent żywieniowy i specjalistka od sztucznego odchowu zwierząt.

Właśnie nadeszła pora karmienia pary lwiątek (trzecie jest już w Gdańsku-Oliwie) mieszanką mleczną. Nie mają najlepszego apetytu. Co się dziwić, tylu gości naraz!

9 strusi, trójka lwów, para szarych foczek i 8 niedźwiadków brunatnych — to tegoroczny cenny przychówek ZOO w Warszawie. Na zdjęciu Ilonka z panią mgr Martą Łazarewicz.

Przed wyjściem na świeżą zieloną trawkę biorę Irysa na ręce. Waży ponad 3 kg, jest wyjątkowo łagodny i skory do pieszczot. Wtula głowę w kołnierz, liże po włosach. Jego szkliste oczy mają ładny błękitno-szary kolor. Kiedy zamierzam przekazać go komuś innemu, obejmuje mnie łapami za szyję. Teraz taki grzeczny, a co będzie potem, jak dorośnie?

— A czy my także, podobnie jak to czynią Anglicy, będziemy eksportować lwy do... cierpiącej na ich brak Afryki? Przecież rodzi się ich u nas sporo, — zwracam się z tym pytaniem do pana dyrektora.

— Do Afryki jeszcze nie. Ale w jednym z pierwszych bardzo modnych obecnie ogrodów zoologicznych typu safari pod Paryżem (zwierzęta żyją tam na dużej przestrzeni w warunkach zbliżonych do naturalnych, natomiast zwiedzający oglądają je z jadących samochodów) są już nasi warszawscy wychowankowie. Te lewki również kiedyś powędrują za granicę.

ILONKA, DO DOMU!

Teraz jednak za kratki olbrzymiej klatki zawędrowała Ilonka — mały niedźwiadek brunatny urodzony w noc sylwestrową na popularnym wybiegu przy trasie W-Z. Sądziliśmy, że w tej klatce będziemy mogli go sobie swobodnie poobserwować, gdy tymczasem...

Zaczęło się od pomruków, fukania i spojrzeń na wysoki sufit. Potem nastąpiły głośniejsze objawy zaniepokojenia czy niezadowolenia, które przeszły w krzyki tak głośne, że trzeba było miśka zabrać.

Jednak kiedyśmy wyszli z pawilonu na dwór, Ilona ślicznie pozowała to zdjęć, a następnie w ramionach Kajetana powędrowała w stronę swego mieszkania.

— Proszę ją już postawić na ziemi — powiedziała 15 metrów przed wejściem pani mgr Łazarewicz. — Ona stąd sama trafi...

Kajetan zrobił to z ulgą, bo osiem i pół kilo żywej wiercącej się wagi zmęczyło go nieco. Ale niedźwiadek wcale nie zamierzał tym razem reagować na polecenie: „Ilona, do domu"! Jakby się czegoś obawiał. W końcu poszedł, ale... z nami.

Już na schodach do pawilonu dał się słyszeć ryk dziwnie przypominający wołanie: Nie! Nie! Nie!

Co się okazało? Otóż w klatce Ilony siedział jej rówieśnik dopiero co przyniesiony tu prosto od matki. Ten dzikus na widok małej niedźwiedzicy, która już od dwóch miesięcy wychowywała się wśród ludzi, zaczął sobie poczynać tak gburowato i napastliwie, że Ilonce nie pozostało nic innego jak raczkiem wycofać się do drzwi.

Tak wyglądają sześciotygodniowe strusie pisklęta wychowywane przez tatę.

WARSZAWSKI OGRÓD ZOOLOGICZNY został otwarty dla publiczności 11 marca 1928 roku, a po raz drugi, po przerwie wojennej, wiosną 1948 roku. Na terenie ponad 40 ha żyją tu przedstawiciele 372 gatunków ssaków, ptaków, gadów, płazów i ryb.

Rok 1972 — był rekordowym pod względem frekwencji publiczności (900 tys. osób). Większość zwiedzających to dzieci i młodzież.

Właśnie wczoraj widziałam i słyszałam przed klatkami z małpami liczną grupę podrostków strojących miny, których nie nazwę małpimi, gdyż byłoby to obrazą dla tych inteligentnych zwierząt. W imieniu 130 pracowników ZOO i własnym, mając na względzie dobro naszych wspólnych ulubieńców, przypominam o odpowiednim zachowaniu w Ogrodzie. Nie drażnijcie i nie karmcie zwierząt, wyciszajcie radia tranzystorowe, nie krzyczcie.

Pisząc to jestem pod wrażeniem wstrząsającej opowieści dyrektora Wolińskiego o zwyrodnialcach, którzy kamieniami rzucanymi z Wybrzeża Helskiego zabili rzadkiego gatunku antylopę i jelenia-weterana. Doprawdy brak słów...

Izolda i Ikar już pływają

W stołecznym ZOO jest taki zwyczaj, że imiona przychówku urodzonego w tym samym roku zaczynają się na tę samą literę. Rok 1973 jest więc nie tylko rokiem Izy, Irysa i Ilony, lecz także Izoldy i Ikara — dwóch foczek szarych.

Przyszły na świat 10 i 14 marca, każde od innej matki. Są 14-tą i 15-tą foką urodzoną w stolicy. Pani Marta, która widziała je zaraz po urodzeniu, opowiada:

— To najpiękniejsze i najwdzięczniejsze spośród zwierzęcych niemowlaków. Ich ciała długości 80-90 cm pokrywa puszyste kremowobiałe futerko, z którego wyglądają wielkie, okrągłe, połyskujące czarne oczy. A potrafią się żalić i skarżyć jak dzieci! Foki rodzą się na lądzie i pozostają na nim przez 3 tygodnie, podczas których karmione są przez matkę. Gdyby w tym czasie weszły do wody, puszyste kudełki prędko by nasiąkły i mogłoby się to stać przyczyną utonięcia. Dopiero więc po zakończeniu okresu niemowlęcego otrzymują przepustkę do zażywania kąpieli, czyli dorosłe focze futro. Izolda i Ikar już je właśnie posiadają...

Ikarowi pozostały jeszcze na grzbiecie skąpe resztki puszystego niemowlęcego futerka.

Dość długo czekaliśmy na to, żeby chociaż jedna z foczek wyszła z wody i dała się sfotografować. No, wreszcie! To Ikar wygramolił się na brzeg, by w towarzystwie mamy wygrzewać się w niezbyt ciepłym, a więc dla fok przyjemnym, słońcu. A jak wyglądał, zobaczcie na zdjęciu.

Wiosenne nowinki z ZOO przekazali wam:
I. DROGA-KUPCZYŃSKA (tekst)
K. Adamowski (zdjęcia)

Z tego pierwszego jaja strusia afrykańskiego pisanki nie będzie. — „Inkubator już czeka" — powiedział pan Borkowski, opiekun strusi.

Dziś w związku z nadchodzącymi Świętami odpowiadam w pierwszej kolejności na liczne listy „gastronomiczne":

„SKOMPROMITOWANE": Czy ciastka można jeść palcami? Co zrobić ze zużytą papierową serwetką? Czy przed i po posiłku mówi się „smacznego" i „dziękuję". Poradź, błagamy, bo grozi nam rodzinny skandal w Święta.

Ciastko (lub ciasto) z kremem jemy zawsze przy pomocy specjalnego widelczyka lub łyżeczki. Suche ciastko można wziąć po prostu w palce. Zużytą papierową serwetkę zostawiamy na talerzyku. Dziś nie mówi się „smacznego" (przed jedzeniem), ten zwrot wyszedł jakoś z użycia. Natomiast „dziękuję" — tak, bo w ten sposób dziękujemy sąsiadom od stolika za towarzystwo przy jedzeniu.

JAREK W.: Czy mięso na talerzu można pokroić na zapas na kawałki i potem jeść tak przygotowane samym widelcem?

Nie! Zjadamy przygotowany kawałek, a dopiero potem kroimy następny.

MARYNA: Czy biorąc z półmiska wędlinę albo ser należy je położyć na talerzyku, a potem na chlebie i przygotować kanapkę czy też jeść oddzielnie? Czy stukanie wielkanocnymi jajkami „jajko w jajko" i rozbijanie ich w ten sposób jest dozwolone?

Odpowiadam po kolei: Jeśli wędliny podano na półmiskach, trzeba je jeść nożem i widelcem, chleb

oddzielnie. Jeśli już robimy kanapki, to należy je kroić na talerzyku na kawałki i jeść widelcem, jak wędlinę.

Rozbijanie wielkanocnych jajek to już obyczaj, tradycja. A więc w domach, gdzie to przyjęte — stukajmy.

A propos jaj: przy okazji podaję prawidłowy sposób ich spożywania na co dzień.

Jajka na miękko podajemy w kieliszku. Kantem łyżeczki odłupujemy wierzchołek jajka. Resztki skorupki można zdjąć palcami. Identycznie postępujemy z jajkiem na twardo. Uwaga: sól z solniczki nabieramy końcem swego noża (czystego!) albo specjalną łyżeczką, jeśli jest ona w solniczce.

„ROZTARGNIONA JUSTYNA". Chodzę do szkoły średniej. Niedawno poznałam chłopca, którego bardzo lubię. Często rozmawia ze mną, lecz na jego widok nie mogę wydobyć z siebie słowa. Jak mam się zachować w rozmowie z nim?

Podobnie jak Ty reaguje wiele dziewcząt, nawet znacznie starszych od Ciebie. Więc — nie przejmuj się! Przede wszystkim nie staraj się być „na siłę" interesująca, nie szukaj w rozmowie z chłopcem tematów trudnych i ciekawych. Bądź naturalna! Żeby przełamać skrępowanie, daję Ci murowany sposób: pozwól jemu mówić (chłopcy to bardzo lubią), a Ty słuchaj z zainteresowaniem.

STASZEK Z GDAŃSKA: Co zrobić, gdy przyjdą do mnie koledzy, a ja muszę wyjść? Nie chciałbym ich urazić ani dotknąć.

Powiedzieć prawdę: że Ci przykro, ale musisz wyjść, że chętnie umówisz się z nimi na inny dzień. Nikt rozsądny nie obrazi się w takiej sytuacji.

*

Kochani, bardzo proszę, dopisujcie na listach w sprawie naszego kącika hasło: „Savoir vivre" lub „Bądź miły na co dzień" lub „Dla Światowca". W ten sposób Wasze listy szybciej do mnie dotrą.

UWAGA: Danka Sz., Jadwiga, Jagoda z Torunia, Grażyna, Reńka, „Zrozpaczona" oraz wszyscy, którzy prosili o radę w sprawach: jak zawierać znajomości, jak zapoznać się z chłopcem, kogo i jak zapraszać na urodziny, prywatkę — odpowiem w najbliższych kącikach.

ŚWIATOWIEC

NAPRAWDĘ BYMS wiosna

DRZEWA SIĘ ZIELENIĄ, słońce świeci coraz mocniej. Chciałoby się pognać gdzieś do lasu, na pole, na biwak, na wycieczkę, a tu... spojrzysz w okno — brudne, i w słońcu widać pełno kurzu w pokoju, wyjdziesz przed dom lub szkołę — czego tam nie ma! Całe masy zeszłorocznych liści wylazły spod śniegu, w magazynie można znaleźć menażkę z zeszłoroczną zupką i piłę bez zębów... Tak już zawsze na wiosnę bywa!

Harcerze ze szczepu im. Stanisława Staszica w Białogonie znaleźli na te wszystkie wiosenne kłopoty natychmiastową radę, ogłosili wielką akcję pod kryptonimem: — TYDZIEŃ WIOSENNYCH PORZĄDKÓW.

Na jej inauguracji brakowało co prawda fanfar i transparentów, ale rąk do pracy i sprzętu było pod dostatkiem. Efekt — kilka zaledwie godzin i prawie całkowicie wypucowany teren dookoła Domu Harcerza oraz jego wnętrze.

Załogi z taczkami krążyły bez przerwy od „zgrabiaczy" do „palaczy liści"; w kącie pod płotem spokojnie i ze znajomością przedmiotu pracowali Grzegorz z Renatą sadząc żywopłot; na korytarzu przycupnęły zuchy i przesadzając kwiatki zdobywały praktyczne umiejętności na sprawność ogrodnika; w świetlicy toczyło się współzawodnictwo w myciu szyb...

Gdy zadania na pierwszy dzień porządków zostały wykonane, nastąpił moment bardzo uroczysty. Przy okrzykach całej grupy pracujących, drużynowa, druhna Grażyna Skadłubowicz, wypuściła na świeże powietrze KUBĘ, bociana, który już od czterech lat nie opuszcza nawet na zimę harcerzy z Białogonu. Był to znak, że naprawdę zaczęła się wiosna!

Zostało wprawdzie jeszcze sporo pracy — i sprzęt turystyczny trzeba przejrzeć, i sprzęt drużyny wodnej i wiele innych rzeczy — ale porządki już rozpoczęte na pewno zostaną dokończone. Następnego dnia przyjdzie druga grupa, później jeszcze inna — tydzień sprzątania trwa!

Tekst:

ZOFIA ADAMOWSKA

Zdjęcia:

Kajetan Adamowski

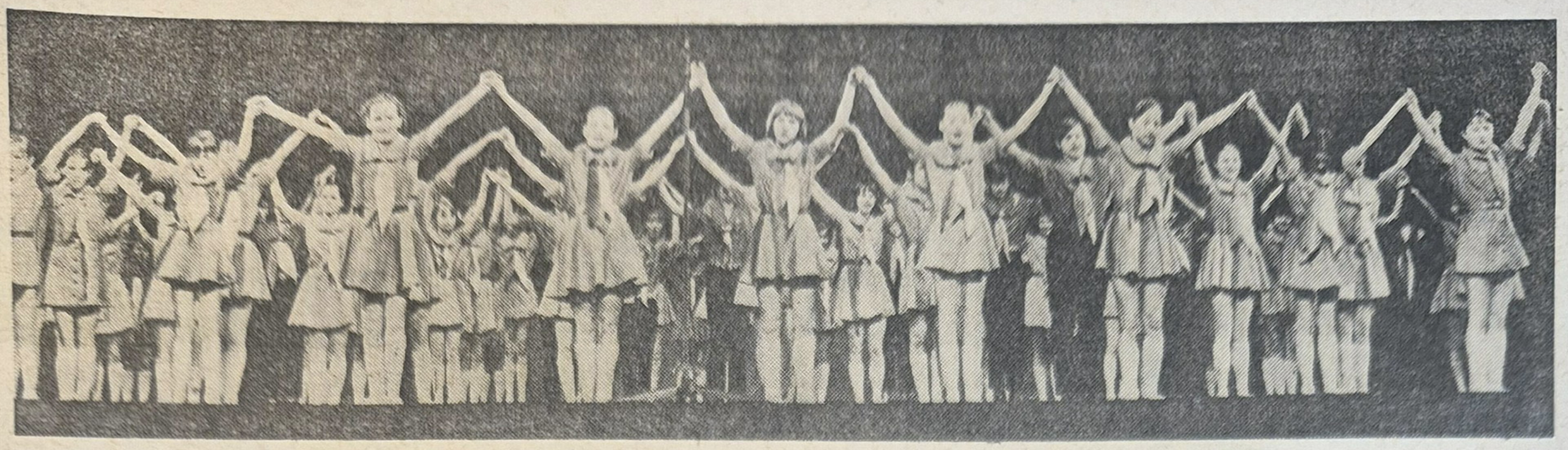

Poprzednio (w nr 30) śpiewaliście piosenkę „I będzie wracać lato" wraz z zespołem harcerskim „Arabeska" z Olsztyna, a dziś śpiewamy z „Gawędą". Tego harcerskiego zespołu nie trzeba przedstawiać, wszyscy go znają. Przypominamy tylko, że „Gawęda" śpiewa i tańczy już 20 lat zawsze pod kierunkiem druha hm Andrzeja Kieruzalskiego.

śpiewaj znami

GRA W KOLORY

Muzyka: Włodzimierz Korcz
Słowa: Wanda Chotomska

Czarne wrony czarno kraczą,
w czarnych barwach widzą świat
i na próżno im tłumaczą
mądrzy ludzie już od lat:
zamiast krakać weźcie pędzel
przemalujcie co się da,
czarnych barw nie chcemy więcej,
każdy w kolor gra!

Czarne przegrywa,
kolor wygrywa,
w kolory grajmy dziś,
w jabłka z jabłonek,
w skrzydła biedronek,
w każdy zielony liść
i jeszcze w te zboża
znad Wisły i Odry
i w słońce, co mówi nam:
dzień dobry!
W słońce nad głową,
w różę różową,
w malwy wysoki kwiat,
w srebro wieczorów,
w tysiąc kolorów,
w jasny, wesoły świat.

Czarne barwy mamy z głowy,
nie będziemy w czarne grać,
może tylko zostawimy
czarnych jagód pełną garść,
siedem kropek na biedronkach
i na nosie piegi trzy,
a poza tym wykluczamy
czarny kolor z gry...

Czarne przegrywa...

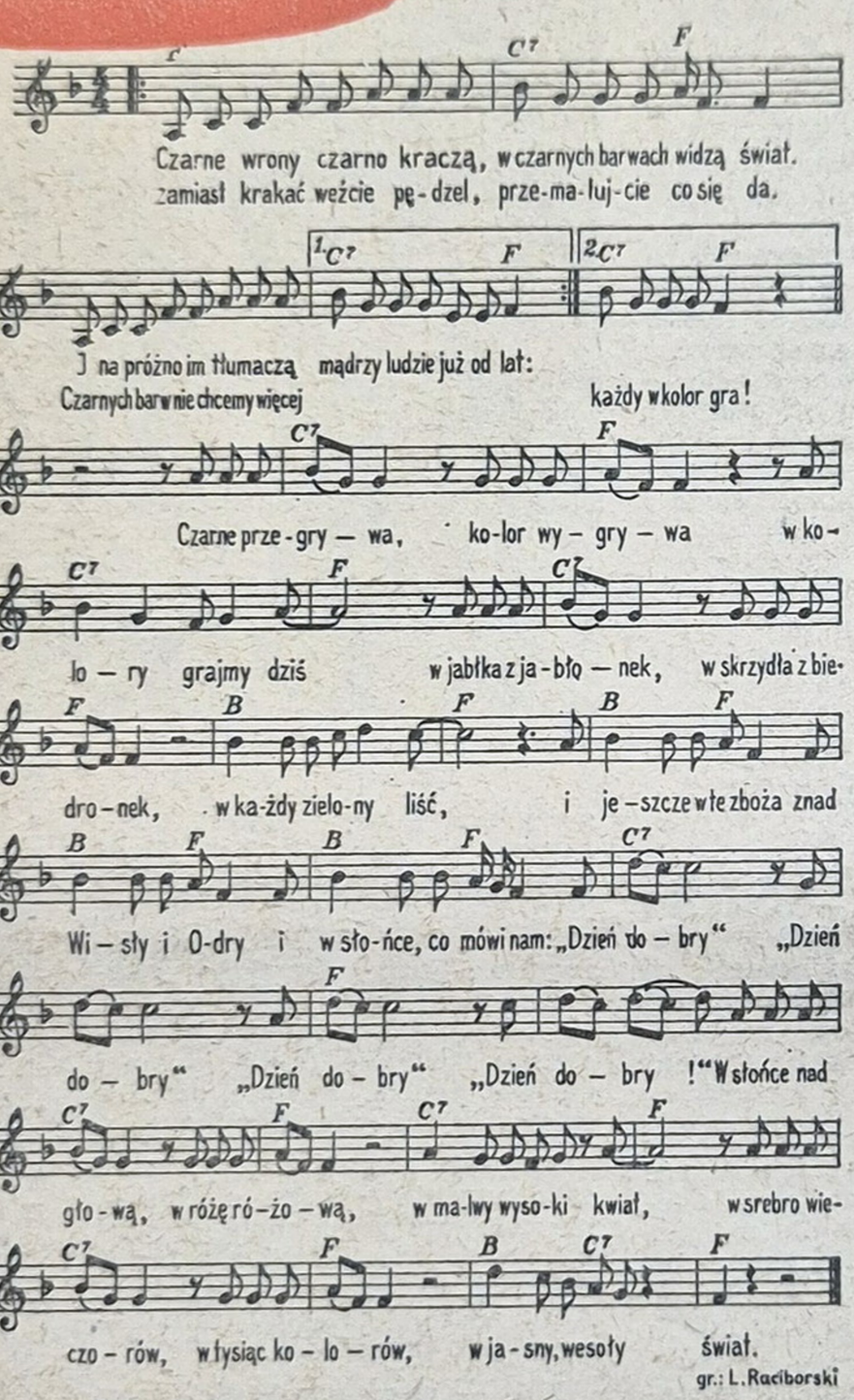

KURA FARAONA I JAJKA

BIAŁOSĘPA można spotkać w Europie na południu Francji, w Pirenejach, ale najczęściej widuje się go w Afryce. Nazywany bywa także kurą faraona. Jest to jednak dziwna kura, która lubi nie tyle znosić, co raczej zjadać jajka, i to cudze. Najchętniej napada na jaja strusia, bo wtedy trud przynajmniej się opłaca. Nieraz i 12 razy musi białosęp uderzać dziobem w skorupkę, aby powstała dziurka, przez którą wypija zawartość. Czasem to bicie jajek strusich odbywa w towarzystwie kumpli i wtedy każdy białosęp uderza kolejno.

Zdarza się jednak, że skorupka nie pęka i wtedy trzeba w nią uderzyć... kamieniem. Białosęp przynosi nieraz z daleka kamień w dziobie i rzuca nim w jajko. Bywa, że posługuje się też kawałkiem szkła. Jak z tego widać, jest to zmyślny ptak, który umie się posługiwać „narzędziem". Zresztą nie on jeden w zwierzęcym świecie. Najlepszy jest oczywiście szympans. Na wolności radzi sobie wspaniale: witką ogania się przed muchami, liści używa jako kubka, a także jako ściereczki. Jest też morska wydra w Kalifornii, która płynąc stylem grzbietowym ma na sobie kamień. Pod wodą posługuje się nim przy rozbijaniu muszli małży. Szalenie inteligentne są mrówki. W razie potrzeby potrafią one zszywać liście przy pomocy swych larw. Larwy te są nitką i igłą zarazem. Wytwarzają bowiem nić, którą snują na kokony. Sprawne mrówki-robotnice wykorzystują w tym celu i tę nić i larwę jako igłę. Niezwykle ciekawy świat zwierząt dostarcza jeszcze więcej przykładów na to, że na Ziemi nie tylko człowiek jest istotą inteligentną.

Na zdjęciu widzicie białosępa w akcji bicia jajek. (bt)

„La vie des bêtes"

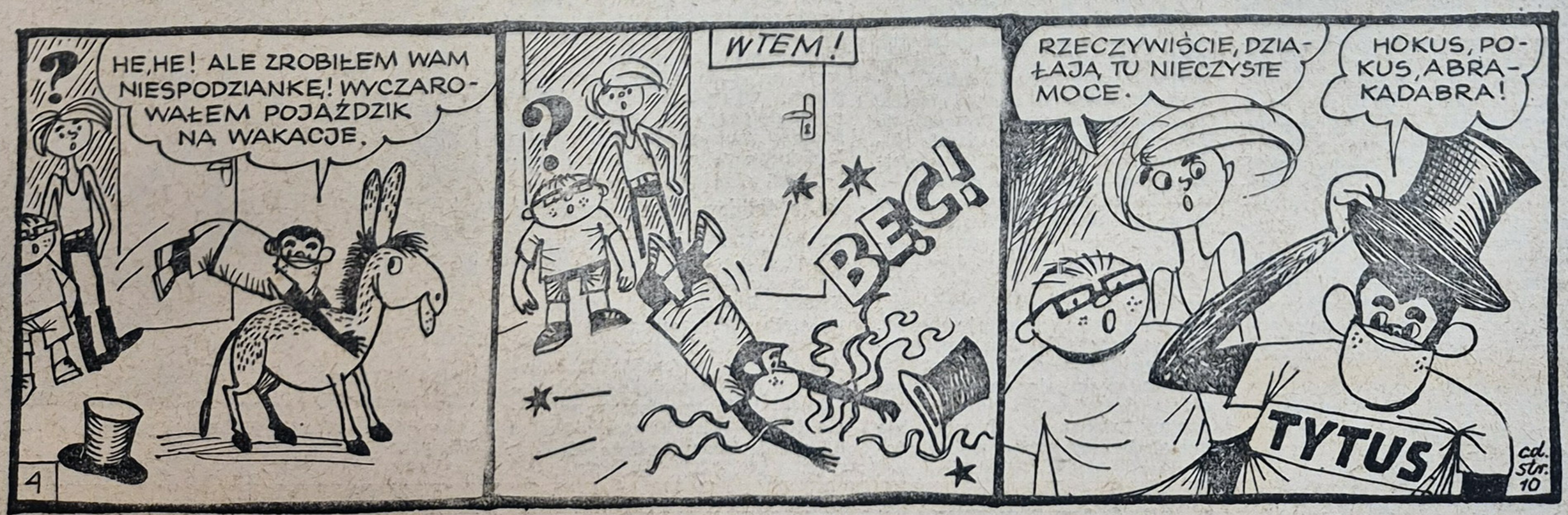

PRAWDZIWE PRZYGODY W PUSTYNI I W PUSZCZY

Pełni napięcia czekamy na film oparty na motywach powieści Henryka Sienkiewicza, a na razie zasięgamy „języka" u reżysera filmu, pana Władysława Ślesickiego, który wraz z całą ekipą powrócił z Sudanu do kraju.

— Już wszystkie przeszkody mamy za sobą, cały materiał filmowy jest w naszych rękach — mówi reżyser. — Obecnie pracujemy nad montażem całości. Chcę, aby to był poemat o przyjaźni, pochwała dzielności, prawości charakteru i patriotyzmu.

Chcemy być traktowani poważnie...

Kiedy gazety poinformowały, że reżyser Władysław Slesicki pracuje nad ekranizacją powieści „W pustyni i w puszczy", zewsząd zaczęły napływać rady. Dzieci pisały w listach, że w książce jest za dużo łzawego sentymentalizmu, który razi współczesnego czytelnika. „Niech nas pan potraktuje poważnie. Chcemy, żeby bohaterowie filmu byli młodzi, ale żeby nas nie śmieszyło ich zachowanie..." Urządzał więc reżyser wycieczki do szkół, przeprowadzał ankiety, słuchał uwag, jaki powinien być Staś, jaka Nel.

Długo zastanawiał się, czy jest to temat dla niego, czy potrafi tę tak znaną i popularną powieść opowiedzieć językiem filmu. Dosłowne sfilmowanie powieści było niemożliwe. Należało zachować atmosferę i możliwie wiernie przenieść na ekran węzłowe momenty i ważniejsze perypetie bohaterów. Dla reżysera Ślesickiego również ważne było oparcie realiów filmu na autentycznej afrykańskiej egzotyce, na zachowanych do dziś reliktach z czasów wędrówki Stasia i Nel przez kraj Mahdiego. Musiał także dokonać drobnej korekty, wynikającej z prawdy historycznej.

Reżyser — Władysław Slesicki udziela wskazówek niewidocznej na zdjęciu odtwórczyni roli Nel. Obok niego — Malija Mekki (Sudan) jako Mea.

Rekonesans

Afrykę znał pan Ślesicki już z wcześniejszych podróży. Teraz zapuścił się w nią głębiej śladami powieściowych bohaterów. Zdobywał wiadomości od samych Beduinów, przyglądał się jak objuczają wielbłądy, przechowują wodę w gurdach, jak rozpalają ogień i pieką na blasze placki z durry. (W ekipie znalazło się później dwóch prawdziwych wielbłądników dbających o autentyzm kręconych scen).

W Afryce spędził reżyser łącznie około 9 miesięcy. Przekonał się na własnej skórze, że noc w pustyni niełatwo jest przeżyć.

— Dwukrotnie — opowiada — znalazłem się sam na pustyni. Raz zepsuł się samochód i wyruszyłem na daleki, samotny spacer. Była noc, ciemno, cicho i bardzo zimno. Świadomość, że przede mną, na przestrzeni wielu setek kilometrów nie ma nic, była przerażająca. Pamiętam jak o brzasku stopniowo ujawniało się surowe, groźne piękno pustyni.

Opowieść zaczęła mi się materializować. Taka przygoda mogła się w Afryce zdarzyć naprawdę...

Przygoda nie tylko piękna

Wszyscy z zazdrością myślą o bohaterach filmu — aktorach, że przeżyli piękną przygodę na Czarnym Lądzie. Wykonawcy ról Stasia i Nel, Tomek Mędrzak i Monika Rosca, istotnie nie zapomną tych dni do końca życia! Ale była to nie tylko przygoda, ale przede wszystkim ciężka, męcząca praca.

— Potrzeba było niezwykłego hartu i sprawności fizycznej — mówi reżyser — aby sprostać zadaniom, jakie stawiał film. Ale nasze dzieci okazały się nadzwyczaj wytrzymałe! Staraliśmy się wprawdzie chronić je od nadmiernego wysiłku i nie przeciążać bez potrzeby. Filmowy Staś-Tomek zasługuje na najwyższe słowa uznania. To autentycznie dzielny, wspaniały chłopak. Nie chciał, by stosowano wobec niego jakieś taryfy ulgowe. Nie zgadzał się na dublerów. Kiedy wymagała tego sytuacja, na przykład w czasie burzy piaskowej, ulewy, pożaru — pracował niezwykle ofiarnie, aby tylko prawdziwie wypaść na zdjęciach. Nauczył się też mówić po angielsku, świetnie jeździ konno i na wielbłądzie. Równie dzielnie spisywała się mała Monika.

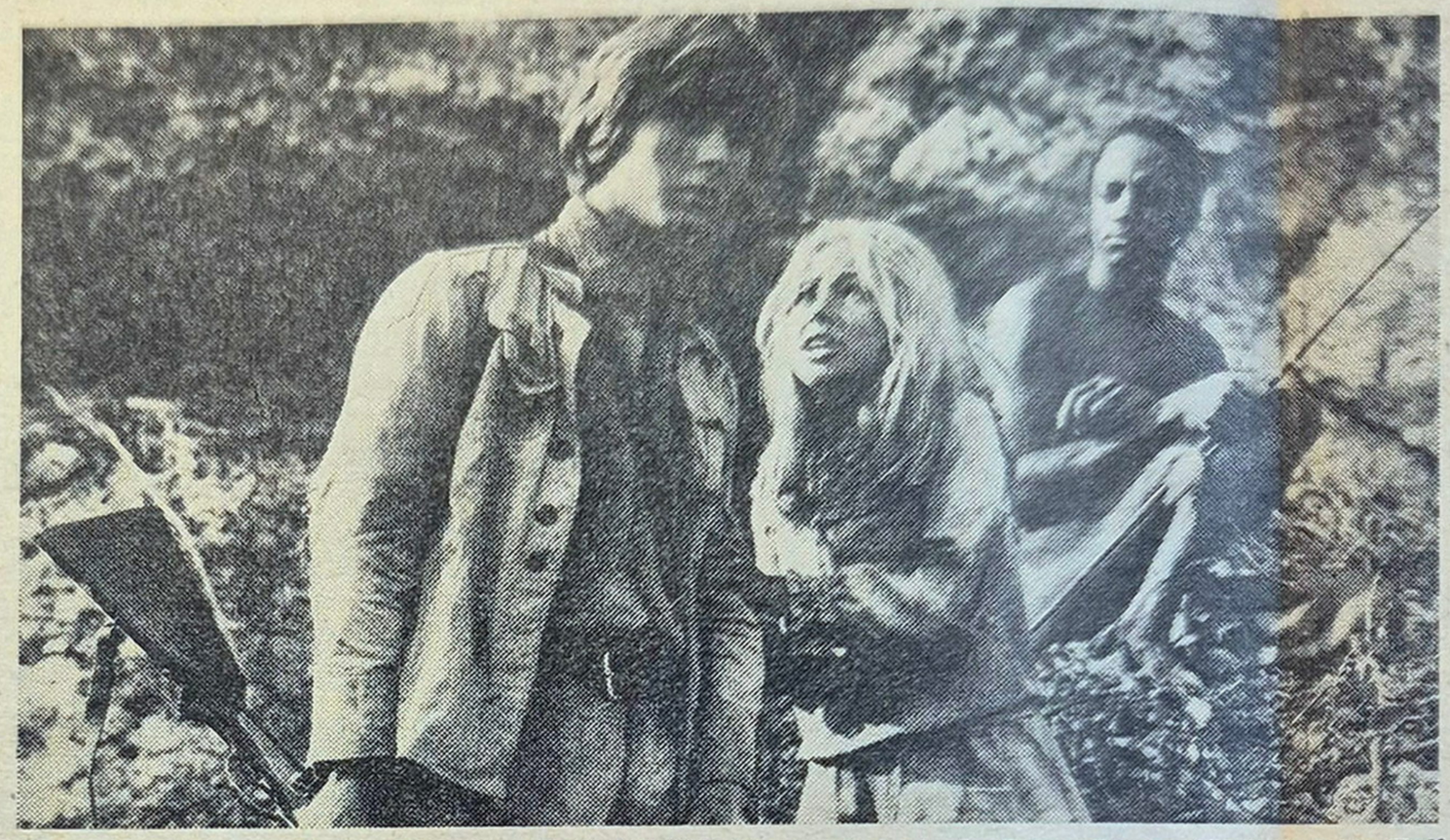

Tomasz Mędrzak i Monika Rosca, czyli Staś i Nel. Na drugim planie Emos Bango (Sudan) jako Kali

Statyści afrykańscy zostali wzięci prosto z buszu, z dżungli, nie zdawali więc sobie sprawy z tego, co wokół nich się dzieje. Dla nich to także była przygoda. A w naszej kinematografii — rzecz bez precedensu.

Kali — w rzeczywistości Emos Bango, młody Sudańczyk z Południa — przez wiele miesięcy nie mógł się nauczyć dialogów po polsku. Nic w tym dziwnego, nasz język jest przecież trudny. Emos znał trochę angielski, wtrącał polskie wyrazy, ale najchętniej mówił swoim plemiennym językiem zandi. Kiedy zobaczył Kinga, wykrzyczał swój dialog po angielsku i tak w naszym roboczym zapisie dźwięku zostało. Z dziećmi zaprzyjaźnił się naprawdę.

Koło Dilling rosną baobaby

Baza filmowców pracujących nad pierwszą częścią opowieści znajdowała się w Kairze. Pustynia była tuż za miastem. Większą część zdjęć nakręcono na przedmieściach. Ale były też wyprawy do oddalonej o 80 km małej stacyjki kolejowej i do miasteczek na trasie Kair — El Fayum. Potem były zdjęcia w Dolinie Królów, a trzy dni ekipa spędziła w Assuanie. W Egipcie kręcono sceny z tatusiami. W rolach tych wystąpili jako ojciec Nel — Edmund Fetting, jako ojciec Stasia — Stanisław Jasiukiewicz. Ci doświadczeni aktorzy bardzo serdecznie i po ojcowsku traktowali swoich młodych kolegów „po fachu" — Monikę i Tomka.

Druga część książki, a więc i filmu, rozgrywa się w Sudanie. Z Chartumu — stolicy kraju — ekipa została przerzucona samolotem do El-Obeid, a następnie autobusem o 5 godzin jazdy przez busz do Dilling. Obóz został tu rozbity w obszernym, dość wygodnym budynku. Specjalnie dla Polaków uruchomiono w miasteczku wytwórnię wody sodowej. Nie powinno się to wydawać dziwne, jeśli się pamięta, że w Sudanie upał jest okropny! Szefem kuchni została matka Tomka, pani Stefania Mędrzak, która wspaniale, po harcersku, radziła sobie ze wszystkimi kłopotami.

Przez ponad miesiąc trwała wytężona praca. Wokoło był busz, baobaby, wieczorami widać było pożary — zjawisko w Sudanie prawie codzienne.

W roli Ghebra — jednego z porywaczy — wystąpił Ahmed Hegazi (Egipt).

Saba, lew i King

Aby nakręcić historię ze słoniem Kingiem i lwem — słowem zwierzętami, które nie są zbyt posłusznymi aktorami, trzeba było używać różnych forteli. Nie będę jednak zdradzać tajemnic... Wypada tylko ponarzekać na Sabę. Wystąpiły w tej roli dwa psy. Obydwa źle znosiły klimat Afryki i jak wszystkie zwierzęta najchętniej ratowały się ucieczką w zacienione miejsce. Ziajały tam głośno, zupełnie nie mając ochoty wracać na plan. Obecność psa przy słoniu także stwarzała kłopotliwe sytuacje.

Ponieważ oswojenie słonia afrykańskiego w ogóle nie mogło wchodzić w rachubę (tu poniosła Sienkiewicza pisarska fantazja) filmowy King jest przedstawicielem innego kontynentu. To zresztą także nie zmieniało faktu, iż mimo stałej obecności tresera, Monika musiała wykazać wielką odwagę... Oczywiście w filmie będzie także i lew w sytuacji znanej wszystkim z powieści.

Dekoracja, która ożyła

Niedaleko Dilling scenograf i jego asystent wznieśli z pomocą Sudańczyków dekoracje przedstawiające fragment murzyńskiej wioski. Szałasy i domki zbudowane wśród buszu potrzebne były do nakręcenia sceny przedstawiającej pożar wsi. Gdy filmowcy przyjechali tam któregoś wieczoru, ujrzeli prawdziwą, tętniącą życiem wieś. Okoliczna ludność uznała, że szałasy są doskonałe i można się w nich rozgościć. Kobiety siedziały przed domkami z dziećmi, mężczyźni gawędzili. Potrzeba było czasu i zabiegów dyplomatycznych, aby pozbyć się miłych, choć nieoczekiwanych lokatorów.

Koło Dilling napotkali filmowcy na żywe tradycje walk z czasów Mahdiego. Dziadowie obecnych mieszkańców stanowili jego jazdę. Na wychudłych koniach mężczyźni wyczyniają i dziś niesłychane harce. Tak jak za czasów Mahdiego mają miecze i dzidy, a w ich chatach znajduje się sporo pamiątek z tamtych czasów. Wiele z nich zobaczymy w filmie — służyły aktorom jako rekwizyty.

W ostatnim miejscu pobytu, Jubie, gdzie nawet atmosfera ze względu na dopiero co skończoną wojnę Północy z Południem Sudanu była podobna do znanej z powieści, patrzono na przybyszów z pewną nieufnością. Filmowcy mieli świadomość, że ludzi o białych twarzach nieczęsto się tu widuje. Jasne włosy Moniki-Nel zdumiewały, budziły zachwyt. Dotykano je ręką jak rzecz nierealną.

Udział w filmie wzięli przedstawiciele wielu narodowości — Arabowie egipscy, sudańscy oraz Murzyni z wielu plemion południowego Sudanu. Polscy filmowcy współpracowali bowiem z Egipcjanami i z kolegami z Cinema Corporation of Sudan. Kręcenie tego filmu miało być dla Sudańczyków, nie mających jeszcze własnej kinematografii, sprawdzianem umiejętności i dobrą szkołą organizacji. W związku z wielojęzyczną obsadą pracowało aż czterech tłumaczy!

Burza piaskowa i ulewa

W trakcie prawdziwej piaskowej burzy (a taka w filmie musiała być, gdyż pełni w powieści ważną funkcję) o filmowaniu nie może być mowy! Pył jest wówczas tak straszny, że cały sprzęt uległby zniszczeniu. Taszczenie na odległość przyrządów byłoby niemożliwe, toteż z pomocą przyszli polscy lotnicy. Samolot wylądował na kawałku równej powierzchni, a potem został zaciągnięty za wydmy. Piaskową burzę zrobiło się przy użyciu śmigła.

Ziarnisty piasek o konsystencji naszego żwiru był ostry i siekący. Wszyscy doświadczyli działania owej sztucznej burzy na własnej skórze. Po kilku sekundach piekła ich jak żywy ogień!

Aby nakręcić ulewę, trzeba było dla odmiany ściągnąć strażackie sikawki i przebić się z nimi przez busz i piaski. Prawdziwa afrykańska ulewa zalałaby wszystko i unieruchomiła ekipę na długie tygodnie.

★

Reżyser filmu Władysław Ślesicki powrócił z Sudanu zafascynowany urodą jego krajobrazu, folklorem i żywą jeszcze pierwotną egzotyką. Z pasją opowiada o tym kraju. Mam nadzieję, że w przyszłości piękno czarnego Sudanu będzie mógł pan Władysław Ślesicki pokazać w filmie dokumentalnym. Sami Sudańczycy z pewnością zechcą także ocalić na filmowej taśmie to, co niedługo będzie musiało ustąpić przed naporem cywilizacji. Cały autentyzm tańców przy dźwiękach tam-tamów, praktyki wciąż jeszcze istniejących czarowników i stare obyczaje różnych plemion.

Jestem pewna, że byłby to bardzo interesujący film. Ale to już będzie zupełnie inna historia...

ANNA GRZYBOWIECKA

Nie taki ten wielki King straszny, skoro Nel poradziła sobie z nim...
Zdjęcia: Bogusław Lambach

Basia Grzanek jest już zastępową od dwóch lat. Podczas V Zjazdu ZHP brała udział w Zlocie Zastępowych w Warszawie. Jej zastęp „Żeglarzy" w II DH „Wilki morskie" przy Szkole Podstawowej nr 4 w Lubaniu Śląskim ma obecnie opinię zespołu bardzo dobrze pracującego. Oto „rodzinne" zdjęcie zastępu. Pierwsza z prawej w drugim rzędzie, to Basia.

MONOLOG ZASTĘPOWEJ

Jedna z dwustu tysięcy

W POLSCE działa około 200 tysięcy zastępów harcerskich. Z tego wynika, że tyle samo chłopców i dziewcząt pełni funkcje zastępowych, dowodzi grupami swych koleżanek i kolegów. Nie jest to zadanie łatwe. Opowiada dziś o tym jedna z dwustu tysięcy właścicielek brązowego sznura, Basia z Lubania Śląskiego

Jeszcze przed dwoma laty, gdy Basia Grzanek była uczennicą V klasy, przyjaźniła się (przyjaźń ta trwa nadal) z Anią Kaniewską. Ania była wtedy zastępową. Dziś Basia tak wspomina minione dzieje...

ANIU, TO MI SIĘ NIE PODOBA!

TO, CO ROBIŁA ANIA, wydawało mi się strasznie nudne. Zastęp spotykał się na zbiórkach zawsze w jednym i tym samym miejscu, na ławce przed szkołą. Uważałam, że coś jest nie tak, że gdybym ja była zastępową, zajęcia organizowałabym inaczej. Szczerze mówiłam o tym Ani. Tylko tak sobie mówiłam, bo serio nigdy nie przypuszczałam, że coś takiego potrafię robić. Zwłaszcza, że łatwiej jest krytykować, trudniej pracować.

Zapewne ktoś kiedyś usłyszał moje uwagi lub też w szerszym gronie powtórzyła je Ania. Bo właśnie podczas wyborów jedna z druhen zgłosiła moją kandydaturę na zastępową. Zostałam wybrana.

PONIOSŁAM KLĘSKĘ

PIERWSZA MOJA ZBIÓRKA. Jeszcze zanim wyszłam z domu, przed lustrem ćwiczyłam „mowę" do zastępu. Bezustannie przypominałam sobie długie rozmowy, jakie prowadziłam z Anią. Miałam straszliwą tremę. Na nogach jak z waty zjawiłam się na zbiórce. I oczywiście przez cały czas nie potrafiłam się rozkręcić, w ogóle nie miałam pojęcia, co mam robić, mówić i czym wszystkich zainteresować. Wcale nie czułam się zastępową, tzn. nie odczuwałam, że mam tzw. władzę i że w zasadzie to co ma się dziać teraz, za tydzień lub w przyszłości, w ogromnej mierze zależy ode mnie.

Do domu wracałam kompletnie rozbita. Nic nie chciałam pamiętać z koszmaru, który na szczęście minął. Ale przecież za tydzień — znów to samo... Co ja zrobię?

BASIU, POKAŻ CO MOŻESZ!...

...TAK POWIEDZIAŁAM SOBIE na pięć dni przed następną zbiórką. Poszłam do Ani. Nie przyznałam się, co mnie gnębi, posiedziałam z nią, przejrzałam kilka książek i w jakimś momencie — czasami zdarzają się takie nagłe olśnienia — zaproponowałam Ani zabawę w zagadki: kto napisał taką a taką książkę. Pół godziny minęło jak minuta, świetnie się bawiłyśmy. Następnego dnia wybrałam się do Danusi Staszków, koleżanki z mojego zastępu. Zapytałam ją (owoc nocnych rozmyślań), czy lubi rozwiązywać zagadki matematyczne. Okazało się, że Danusia zna fajny rebus, w którym trzeba znaleźć jak najwięcej liter z alfabetu.

Wierzę w istnienie prawa serii — następnego wieczoru oglądałam w TV braci, który świetnie odpowiadali w teleturnieju. Zmaganiom chłopców kibicowała cała moja rodzina. I nagle zaświtało mi w głowie: Na następne zajęcia mam bombę!

POCZĄTEK DOBREGO

PODCZAS PRZERWY zwołałam zastęp i na najbliższą zbiórkę zaproponowałam przygotowanie zagadek matematycznych. O cudzie, nikt się nie wykręcał. Pomysł chwycił. W dniu wyznaczonym na spotkanie wszyscy byli gotowi: każdy miał kartkę z pytaniem. Ja przygotowałam tabelki, by każde rozwiązanie było punktowane na stopnie, a nie żeby było tak: „ty rób, a ja będę zdrów". Jeden członek zastępu stał o kilka metrów od drugiego, żeby nikt nie mógł ściągać. Zagadki okazały się trudne. Niełatwo je było rozwiązać. Zabawa była wspaniała! Każdy z nas biedził się sam i na swoją rękę prowadził pojedynek ze swoim umysłem. Turniej trwał 1.5 godziny. Wygrała Irka Gutek. Zdobyła miano pierwszego matematyka zastępu.

Mam już następny pomysł gry — na razie to tajemnica. Odłożę do jesieni, gdyż — wiosnę ciągnie nas w świat.

Zanotowała:
BARBARA SKÓRSKA

Pan kapitan JOZEF SMOCZYK prezentuje na tym zdjęciu „Zawiszę Czarnego" tuż przed zwodowaniem do butelki. Na fokmaszcie szkunera powiewa już fińska flaga, znak, że żaglowiec wejdzie do Finlandii.

Za moment budowniczy pochyli maszty „Zawiszy" w kierunku rufy i wciśnie żaglowiec przez szyjkę w głąb butelki. Następnie pociągnie za nitki specjalnie w tym celu umocowane do masztów i przy ich pomocy podniesie owe maszty do właściwej pozycji... Oto tajemnica butelkowego wodowania.

STATKI nabijane w butelkę...

Stocznia, którą właśnie odwiedzam, jest z całą pewnością najmniejszą stocznią świata. Najmniejszą, ale produkcją liczebną przewyższającą największe japońskie kolosy.

Jej dyrektor — mistrz i majster w jednej osobie — kapitan żeglugi wielkiej Józef Smoczyk — nie jest w stanie policzyć wszystkich „zwodowanych" przez siebie jednostek, nie prowadził bowiem żadnego rejestru keczy, fregat, szkunerów, barkasów czy brygantyn, które przeszły przez jego ręce. Trzeba jeszcze dodać, że ta dziwna stocznia buduje wyłącznie żaglowce. Te, które można i dziś spotkać na morzach i oceanach świata oraz te, po których pozostały jedynie wspomnienia, czasami utrwalone na płótnie przez malarzy-marynistów, czasami zachowane w formie opisów.

Pierwszy konwój

Wszystko zaczęło się w mrocznych czasach II wojny światowej. Kto czytał książkę kapitana Borhardta „Znaczy kapitan" ten wie, że nasza biała fregata — „Dar Pomorza" odbywająca w sierpniu 1939 roku rejs szkoleniowy po Bałtyku na rozkaz polskich władz wojskowych zawinęła do Szwecji. Na jej pokładzie wśród uczniów Szkoły Morskiej w Gdyni znajdował się Józef Smoczyk.

„Dar Pomorza" pozostał w Szwecji. Załoga i uczniowie zaokrętowali się na polskie statki handlowe znajdujące się w Göteborgu. Statków było pięć. Józef Smoczyk służył na „Naroczy".

W dniu 23 września 1939 roku „Wilno", „Narocz", „Kromań", „Chorzów" i „Robur IV" w szyku torowym opuszczają Szwecję. Na pełnym morzu na spotkanie polskim statkom wychodzą angielskie okręty wojenne. Będą eskortować ten pierwszy konwój w dziejach II wojny światowej do brzegów północnej Szkocji.

Już na redzie Firth of Forth brytyjski kontrtorpedowiec „Mohawk" prowadzący konwój zostaje zaatakowany przez hitlerowski samolot. Na pokładzie są zabici i ranni.

W październiku 1940 roku Józef Smoczyk przeokrętowany zostaje na s/s „Cieszyn". W rok później trafia na... szkuner.

W czasie II wojny światowej niemałe zasługi odniosły trzy statki żaglowe kursujące po wodach angielskich. Na dwóch z nich pływali polscy marynarze. Na „Garlandstone", dwumasztowym szkunerze dowodzonym przez kapitana Michała Leszczyńskiego, Józef Smoczyk pełnił funkcję pierwszego oficera w latach 1941—1942. „Garlandstone" transportował części do samolotów, śruby i przeróżne rzeczy, których dostawa nie była zbyt pilna (prędkość statku żaglowego zależna jest przecież od siły wiatru) natomiast chodziło o bezpieczny ich przewóz. Hitlerowskie okręty wojenne nie znały bowiem stanu uzbrojenia żaglowców, przezornie więc ich nie atakowały, podejrzewając jakąś pułapkę.

A wszystkiemu winien... wuj

„Garlandstone" chodził przeważnie do południowej Irlandii. Tam właśnie pan Józef zaprzyjaźnił się z pilotem wprowadzającym statki do portu. Pewnego dnia pilot podarował mu cacko — maleńki żaglowiec umieszczony w butelce, a wykonany przez wuja pilota, byłego marynarza. Ten właśnie prezent przez szereg tygodni spędzał sen z powiek „Pierwszego" z „Garlandstone"

W czasie następnego spotkania z sympatycznym Irlandczykiem pan Józef poprosił o skontaktowanie go z wujem. Pan Józef posiadał bowiem smykałkę do wszelkich prac ręcznych, a jego pierwszą sprawnością harcerską, zdobytą jeszcze w 1935 roku, była właśnie sprawność zabawkarza. Niestety, okazało się, że wuj w międzyczasie zmarł, zabierając do grobu tajemnicę umieszczania statków w butelkach.

— Dasz sobie radę sam — pocieszał kapitan żaglowca widząc smętną minę kolegi obracającego w dłoniach butelkę z tkwiącą wewnątrz zagadką.

Nie było rady; żeby zgłębić tajemnicę, pan Smoczyk sięgnął po... młotek. Prysnęło szkło.

Od tamtego właśnie pamiętnego dnia jedna z szuflad w oficerskiej kajucie zamieniła się w stocznię.

Pierwszym statkiem „nabitym w butelkę" był właśnie szkuner „Garlandstone", drugim kecz „Pax II" — żaglowiec, na który w 1942 roku przeokrętowali się obaj z kapitanem Michałem Leszczyńskim.

„Zawisza Czarny" w szkierach

Obecna stocznia pana kapitana Józefa Smoczyka mieści się w mieszkaniu, w niewielkiej walizce. Ułożone są w niej bardzo proste narzędzia: ostry nożyk, nożyczki, dłutko, szydło, trochę zakrzywionych drutów. Budulec stanowią listewki z lipowego drzewa, białe płótno, cienki drucik, nici, zwykły kit, farby. Z tym, że wszystko jest pięknie posegregowane i poumieszczane w pudełeczkach. Właśnie w szafce zrobionej z pudełek od zapałek znajduje się kod flagowy. Długość każdej flagi nie przekracza pół centymetra. Kiedyś, jeszcze na statku, pan Józef kichnął w czasie pracy. Cały kod, dziesiątki sztuk, rozleciał się po kabinie. Zbieranie i segregowanie maleńkich flag zajęło budowniczemu tyle niemal czasu, co budowa nowej jednostki...

Pan kapitan prezentuje mi po kolei gotowe już żaglowce. O „Garlandstone" i „Pax II" już wspominałam, ale oto „Zawisza Czarny", nasza harcerska jednostka flagowa, w pełnej gali banderowej.

W butelce, z kitu pomalowanego oczywiście na właściwe kolory, uformowana powierzchnia morza i szkiery — skały ledwo wystające z wody, którymi najeżone jest wejście do portu Helsinki. Bo „Zawisza" wchodzi właśnie do Finlandii, żeby wziąć udział w regatach wielkich żaglowców, które odbywały się latem ubiegłego roku. Przyznam, że na ten widok ogarnia mnie wzruszenie, bowiem właśnie wtedy znajdowałam się na jego pokładzie.

Najwięcej kłopotów miał jednak budowniczy z wykonaniem „białej fregaty". Mimo że zna „Dar Pomorza" bardzo dokładnie, pełnił bowiem na nim po wojnie funkcję oficera, ten właśnie statek wymagał ogromnej pracy. Kapitan twierdzi, że do zbudowania statku w butelce wystarczy tylko trochę smykałki, czyste ręce i... dużo, dużo cierpliwości.

Na pożegnanie pan Józef wręcza mi kawałek lipowej listewki. Wyraziłam bowiem ochotę popracowania na stoczniowym polu. Zacznę od „Cadeta".

WIESŁAWA MROCZEK
Foto: H. Kabat

zagadkowe pismo INKÓW

DO DZIŚ zadziwia nas niesłychana precyzją i wielki kunszt budowli kamiennych wzniesionych bez użycia zaprawy murarskiej! Inkowie budowali z wielkich bloków kamiennych, które precyzyjnie obrabiali i szlifowali, tak że po połączeniu bloki pasowały do siebie idealnie. Między łączenia nie sposób jest włożyć szpilkę! Mimo że budowle Inków zostały opuszczone i od wieków są narażone na niszczące działanie atmosferyczne i częste w tych okolicach trzęsienia ziemi — mury stoją do dziś! Albo ich drogi i kanały nawadniające, długością i trwałością przewyższają drogi starożytnego Rzymu.

Wysoka kultura Inków w Peru była wspaniała i doskonała! A jednak była to kultura nie znająca piły, świdra, obcęgów, śrub, gwoździ, pilnika, żelaza. Co więcej, Inkowie nie znali kleju ani szkła, sztuki budowania sklepień ani płatnerstwa, nie znali pługa, koła, pieniądza, pisma. A mimo to stworzyli dzieła godne największego podziwu.

Skarbów wiedzy strzegli amauta, czyli uczeni, którzy zgłębiali nauki duchowne i świeckie. Amauta uczyli matematyki, astronomii, statystyki, teologii, historii, polityki, poezji, muzyki i medycyny. Do nich również należała interpretacja prawa. Prawdopodobnie amauta pełnili też funkcje inżynierów i kierowali budową kanałów, dróg, twierdz i miast oraz wyrabiali przedmioty drogocenne przeznaczane do użytku wysokich dostojników. I to wszystko było możliwe bez znajomości pisma?

Pytanie takie nasuwa się każdemu, kto chociaż raz zetknął się z cywilizacją Inków. Nad rozwiązaniem tej zagadki biedzili się uczeni od wielu lat. Zdaniem badaczy kultury dawnych mieszkańców Ameryki Południowej — Inkowie nie pozostawili po sobie żadnych śladów piśmiennictwa, żadnego alfabetu. Natomiast w celu przekazywania informacji posługiwali się swoistym systemem pisma węzełkowego tzw. kipu (patrz rys.).

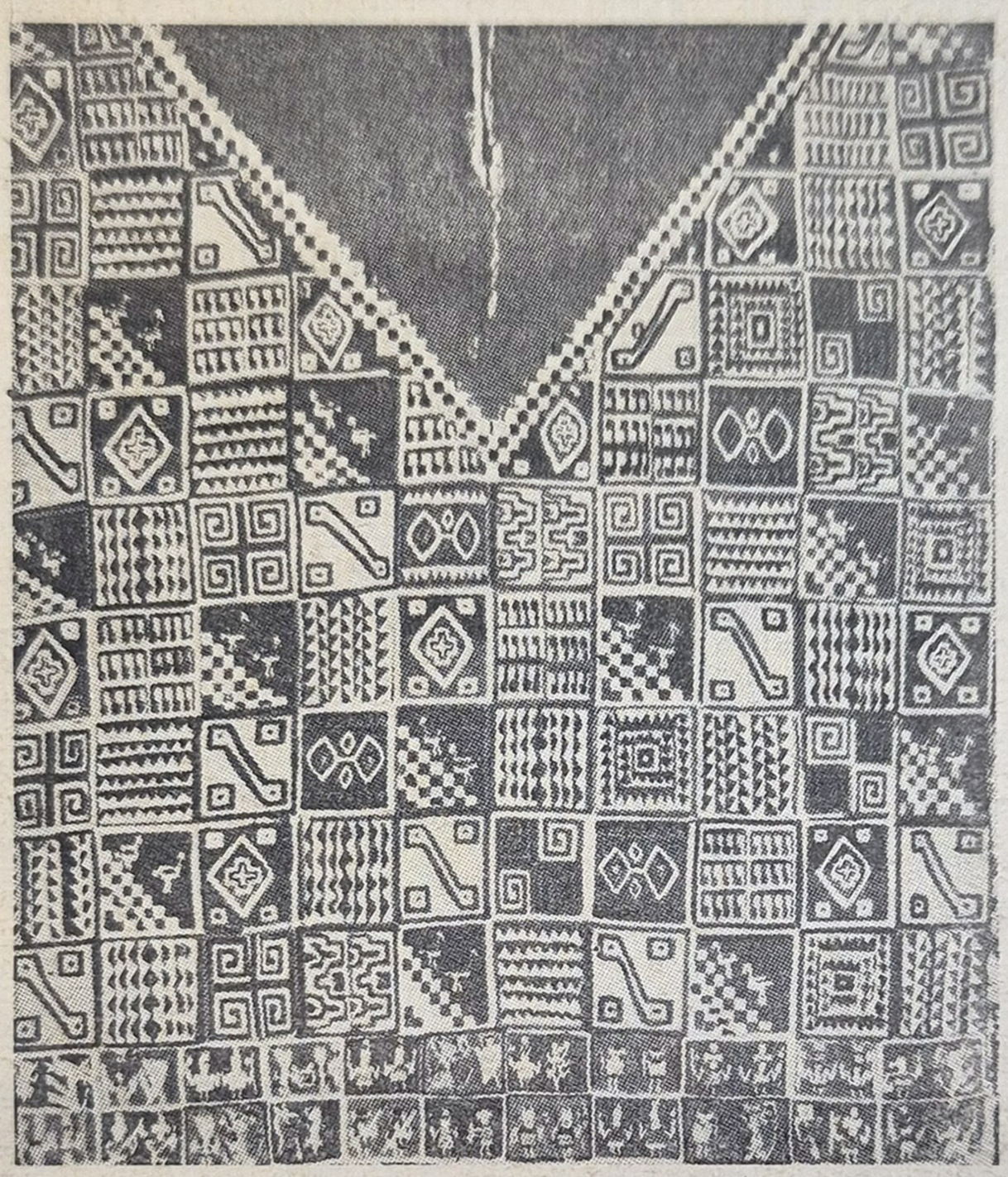

Tak wyglądają tajemnicze wzory na szatach dostojników, ktore jak się okazało są znakami graficznymi pisma Inków. W rzeczywistości wzory te są kolorowe.

Czy tylko kipu?

NA CZYM POLEGAŁO TO „PISMO"? Otóż do grubych sznurków przywiązywano cieńsze sznurki rozmaitych kolorów. Na tych sznurkach dopiero wiązano węzły. Im bliżej grubego sznura znajdował się węzeł na cienkim sznurku, tym ważniejsza była sprawa, o której mówił. Ponadto czarny węzeł oznaczał śmierć, biały — srebro lub pokój, czerwony — wojnę, żółty — złoto, zielony — chleb itd. Węzły na niebarwionych sznurkach oznaczały liczby: pojedyńczy — dziesiątki, podwójny — setki, potrójny — tysiące.

Pismo węzełkowe — kipu

Za pośrednictwem takiego dziwnego pisma Inkowie wydawali rozkazy, zarządzali swym ogromnym imperium. Sznury kipu rozsyłano po całym kraju poprzez szybkonogich gońców.

Tak myślano o piśmie Inków do niedawna. Od pewnego czasu współcześni uczeni wysunęli zastrzeżenie co do tego, że jedynie kipu służyło za sposób przekazywania informacji. Wątpliwości te rosły w miarę uzyskiwania coraz nowych rezultatów badań, przede wszystkim tych, które prowadziła od 1962 r. Wiktoria de la Jara z uniwersytetu San-Marcos w Peru.

A jednak pismo istniało

PRACA UCZONEJ była niezwykle trudna. Przebadała ona liczne źródła, mnóstwo przekazów, kronik z epoki konkwistadorów, relacje misjonarzy, pamiętniki, relacje wicekrólów tzw. Nowej Hiszpanii składane dworowi madryckiemu, stare słowniki języka Keczua. Zwróciła m. in. uwagę na wzmiankę kronikarza Jose de Acosta, twierdzącego, że „Indianie z Peru i Nowej Hiszpanii za litery mają tylko rysunki i figurki. W głębiach archiwów odkryła raport z 1582 r. mówiący o tajnych sądach, wyrokujących na podstawie starych praw, utrwalonych za pomocą węzłów kipu, ale też kreślonych „jakimiś różnokolorowymi znakami".

Musiały więc istnieć u Inków poza węzłami inne znaki, bardziej dogodne do porozumiewania się, odgrywające rolę pisma. Do takiego wniosku doszła Wiktoria de la Jara. W jaki sposób zostały one utrwalone? Tu z pomocą badaczce przyszła wiadomość o odkryciu w swoim czasie na półwyspie Paracas, ojczyźnie powstałej 300 lat p.n.e., jednej z najciekawszych kultur Peru — mnóstwa różnobarwnych, wzorzystych tkanin. We wzorach tych stale powtarzała się podobizna zwykłych ziaren fasoli.

Prawie dwa lata trwały badania tych dziwnych fasolowych wzorów, aż uczona nabrała pewności: fasolę stanowiły „litery" najstarszego pisma Inków.

Dlaczego właśnie ziarna fasoli? Otóż kształt różnobarwnego ziarna jest bardzo wygodny do umieszczenia na tkaninie jako znak. Jego kolor precyzuje znaczenie, a usytuowanie wypukłej strony wskazuje kierunek, według którego należy czytać zdanie, oczywiście po uprzednim odszukaniu początku mogącego znajdować się z lewej, z prawej lub u góry czy u dołu tkaniny. Pani Wiktorii udało się wyodrębnić 325 znaków „fasolowych". Stąd wysunęła wniosek, iż pismo staroperuwiańskie było pismem ideograficznym. Ponadto stwierdziła, że na długo przed początkiem naszej ery ludy południowoamerykańskie, należące do grupy językowej Keczua, posługiwały się własnym pismem. W Peru pismo „fasolowe" przetrwało do czasów powstania imperium Inków. Wtedy jednak ustąpiło ono innemu piśmiennictwu.

Tajemnicze znaki na szatach

PO LATACH badań starych rękopisów pani Wiktoria dowiedziała się, że ostatni władca Inków, zdetronizowany i zabity przez żołnierzy Pizarra Atahualpa, nie rozstawał się nigdy z dziwnym przedmiotem — rodzajem ukośnego krzyża w kwadracie, nazywanego „aspa". Również hafty na szatach arystokracji Inków składały się na liczne desenie i sploty noszące nazwę „tokapu". Takie same desenie zdobiły ceramikę Inków. Badaczka dokonała więc — korzystając z eksponatów muzealnych — skatalogowania i systematyzacji splotów deseni „tokapu". W ten sposób wyodrębniła szesnaście znaków powtarzających się najczęściej na tkaninach i ceramice. Szesnaście znaków! A przecież taka liczba uważana była u Inków za świętą. Mury miasta stołecznego Cuzco podtrzymywało właśnie 16 wież i na każdej z nich widniały namalowane jaskrawymi barwami napisy w takich samych znakach jakie nosili na szatach dostojni Inkowie. Czy nie były to imiona bogów lub też tytuły wodzów?

Pierwsze słowa w znakach „tokapu", które udało się odczytać brzmiały: „Cuzco" oraz „Inka". Następnie Wiktoria de la Jara zdołała rozszyfrować na jednej z szat władców fragment kroniki, dotyczącej dziejów państwa Inków. Na innych sztukach odzieży „zanotowane" zostały wydarzenia historyczne. Wypływa stąd wniosek, że na garderobie każdego z władców czy dostojników Inków „zapisane" były wyjątki z kodeksu praw ich imperium.

To dopiero początek

WIKTORIA DE LA JARA dokonała ogromnej odkrywczej pracy. Ale to dopiero początek. Potrzeba jeszcze wielu dalszych badań, aby rozszyfrować zagadkę pisma Inków. Przed studiującymi to pismo badaczami piętrzą się najrozmaitsze trudności. Nie jest ono bowiem podobne do żadnego ze znanych dotychczas pism. Aby dać wam pojęcie o tych trudnościach wspominamy choćby o sposobie odróżnienia czasowników. Otóż w piśmie Inków czas w jakim użyty został czasownik zależy od koloru znaku. Np. czasownik „iść" — wyrażony przez odpowiedni znak — jeżeli jest koloru zielonego oznacza czas przeszły (szedł), koloru czerwonego — czas teraźniejszy (idzie), a niebieskiego — czas przyszły (pójdzie).

Niezależnie od tych trudności, miejmy nadzieję, że uda się do końca „rozgryźć" to zagadkowe pismo.

(Oprac. wg „Wokróg swieta" bor)

Opanowani SZALEŃCY

WYŚCIGI ŻUŻLOWE — sport dla ludzi o stalowych nerwach; ktoś powiedział nawet, że dla szaleńców. Mknący z szybkością powyżej 100 kilometrów na godzinę zawodnik ma... 100 m prostej. Nie zmniejszając prędkości wpada na wiraż, by po wyjściu z niego ponownie do oporu rozkręcić gaz. Walczy więc i z trójką konkurentów i z krzywizną toru, i z własną słabością. Tylko nielicznym udaje się wychodzić zwycięsko z tych pojedynków. A zwycięża ten, kto potrafi połączyć brawurę, ryzyko, rozsądek i opanowanie w jedną całość, zwaną umiejętnością opanowania szaleństwa.

WROCŁAW 1970 r. Finał indywidualnych Mistrzostw Świata. XIII bieg. Startują: Kurylenko (ZSRR), Fundin (Szwecja), Mauger (Nowa Zelandia) i Glücklich (Polska). Teoretycznie młody Polak nie ma szans w walce z wielokrotnymi mistrzami. Ale tylko teoretycznie...

Potężny ryk nie wytłumionych silników zmusza do zatkania uszu. Czterech jeźdźców, nisko pochylonych nad kierownicami, upodobniło się do panter przyczajonych przed skokiem. Znieruchomieli na moment. Powietrze drga od huku. Taśma poszła w górę. Ruszyli z miejsca pełną mocą 50 KM. Henryk Glücklich spóźnił się tylko setną część sekundy, pozostał w tyle o długość maszyny. Jednakże już na pierwszym wirażu wyprzedza Kurylenkę, na drugim „połyka" samego Fundina i niebezpiecznie zbliża się do pędzącego Maugera. Nowozelandczyk zdążył już ocenić klasę Henryka, blokuje więc tor wewnętrznej krzywizny. Ale Polak uparcie atakuje po zewnętrznej. Siedzący blisko toru widzowie przymykają oczy; strumienie czarnego żużlu, wyrzucane przez tylne koło motocykla naszego reprezentanta tną po twarzach. Mauger jeszcze raz desperacko kontratakuje, jednakże nie ma już takiej siły, która by odparła uderzenie Glücklicha. Po przejechaniu linii mety Ivan Mauger, aktualny mistrz świata, oraz Ove Fundin, pięciokrotny mistrz, serdecznie, jak przystało zawodnikom tej klasy, gratulują Polakowi.

TALENT CZY UPÓR?

NAZWISKO Henryka Glücklicha z „Polonii" Bydgoszcz znają miłośnicy sportu żużlowego nie tylko u nas w kraju Tuła, Ufa, Göteborg, Slany, Wembley — wszędzie oklaskiwano bojowość naszego zawodnika.

Swoje starty rozpoczął już jako 18-letni chłopak w ROW Rybnik. Później przenosi się do Bydgoszczy. Ale zanim wypłynął na szerokie wody, wiele się musiał napracować.

— W żużlu selekcja jest wyjątkowo brutalna — wyjawia znakomity zawodnik. — Zazwyczaj dwóch, trzech na setkę chętnych pozostaje na torze. Niebezpieczeństwo jazdy odstrasza nawet najbardziej zapalonych. Leżałem nie raz, nie dwa, ale czy upadki mogą zniechęcić do dalszej jazdy? Dużo czasu upłynęło od momentu, kiedy zrozumiałem, że kawalerska fantazja musi iść w parze z umiejętnościami. Swoich młodzieńczych porywów na szczęście nie okupiłem groźnymi kontuzjami...

Tyle tylko powiedział o sobie mój rozmówca. Od siebie dodam, że Henryk jest jedynym zawodnikiem w kraju, który przez 10 lat swoich startów nie zanotował poważnej kontuzji, nie spowodował wypadku. Można więc śmiało powiedzieć iż jest on prawdziwym rycerzem czarnego toru. Rycerzem, który swój kunszt zawdzięcza własnemu uporowi.

Glücklich stanowi filar zespołu „Polonii". Dla udokumentowania tego stwierdzenia podam, że w każdym sezonie dostarcza on 150—180 pkt. Żaden zawodnik w kraju nie może poszczycić się podobną statystyką. Piąty żużlowiec świata jeździ także doskonale w drużynie reprezentacyjnej. Jest przecież mistrzem świata za rok 1969.

Henryk Glücklich ma zadowoloną minę. Czy obecny sezon będzie miał równie udany? Foto.: CAF

DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

POLSCY KIBICE żużlowego sportu przyzwyczaili się do sukcesów swoich pupilów. Nie wszyscy jednak wiedzą, że ich codzienność wypełniona jest uporczywą pracą.

Siedzę właśnie w świetlicy czołowego klubu w Polsce — „Polonii" Bydgoszcz, byłego mistrza, aktualnego wicemistrza. Są tu wszyscy zawodnicy i trenerzy. Omawiają następny start, następny trening. Na zakończenie trener Jan Malinowski zwraca się do mnie:

— Moja drużyna jest jedynym zespołem w kraju skupiającym samych ZMS-owców. To kładzie na członków drużyny dodatkową odpowiedzialność. Swoim zachowaniem, postawą, muszą dać przykład innym. Deszcz, zła nawierzchnia toru, nie mogą stać na przeszkodzie startu w imprezach propagandowych. Na przykład: niedawno zorganizowaliśmy mecz z NRD. Dochód z tej imprezy, rozgrywanej podczas nienajlepszej pogody, przeznaczyliśmy na Centrum Zdrowia Dziecka. Przekazaliśmy prawie 26 tys. zł. Takie zawody będziemy organizować częściej.

— Podstawą naszych sukcesów sportowych — wtrąca asystent trenera Stanisław Witkowski — jest niewątpliwie solidne podejście całego zespołu do treningu. Spotykamy się każdego dnia, jednakże nie codziennie zawodnicy jeżdżą po torze. Gra w piłkę, hokej, pływanie, ciężary są równie ważne jak sama jazda. Słaby fizycznie zawodnik nie ma szans w walce z silniejszymi, bo przecież niełatwo jest utrzymać w ryzach owe 50 koni mechanicznych.

Wiraż. Kontrolowany poślizg. Zwróćcie uwagę na sposób prowadzenia motocykla. Foto: M. Świderski

CZY POWTÓRZYMY SUKCES?

POLSKA będzie w bieżącym roku organizatorem kolejnych mistrzostw świata. Na stadionie w Chorzowie ponownie ujrzymy najlepszych żużlowców. Ale najpierw naszą krajową czołówkę oczekuje gęste sito eliminacji. Sposób wyłonienia piątki naszych reprezentantów został już ustalony. Liczyć się będzie średnia ilość punktów, uzyskanych w meczach ligowych, wyłącznie na torach obcych. Kto uzyska największą wypadkową, — ubierze strój z orłem na piersiach. Kryteria tej eliminacji są bardzo słuszne. Czy Glücklich, Waloszek, Jancarz, Mucha, Plech, a może jeszcze ktoś inny, powtórzą sukcesy z minionych lat? Sądzimy, że tak. Jednakże nie wolno zapominać nam o klasie Nowozelandczyków Ivana Maugera i Barry Briggsa, Duńczyka Ole Olsena czy Anglików Nigel'a i Erica Boocock. Oni także przyjadą do Polski z myślą o zwycięstwie .

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

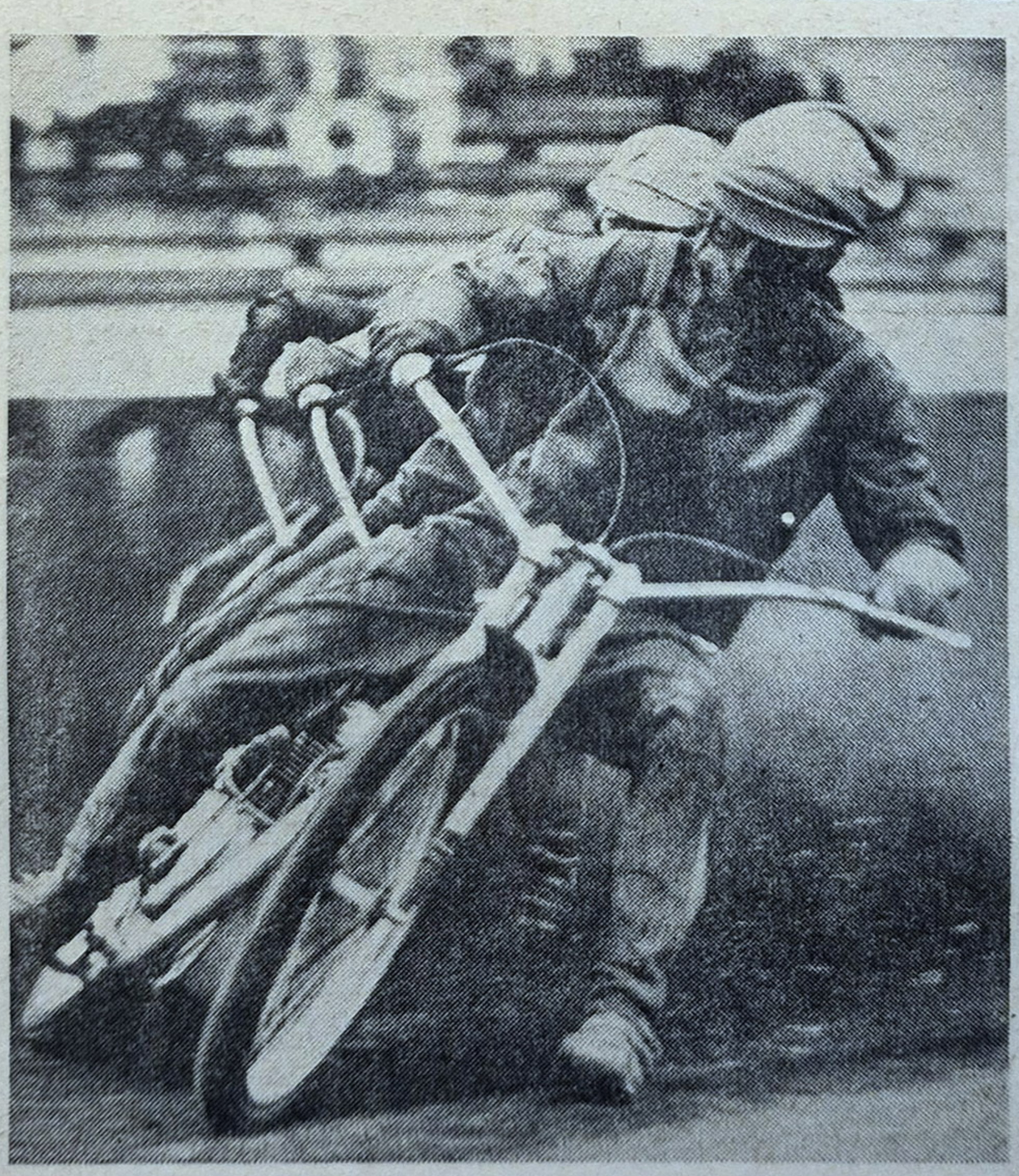

Koncert na trzy motocykle. Zachwycająca symetria układu zawodników przy pokonywaniu wirażu. Foto.: CAF

KOPERNIK 10)

Tekst: H. CHMIELEWSKI
Rys.: M. KOŚCIELNIAK

1. Po zniszczeniu Fromborka Kopernik stracił swoją kurię. Wobec stałego zagrożenia krzyżackiego nie mógł spokojnie prowadzić prac naukowych i przeniósł się z powrotem do Olsztyna. W listopadzie 1520 r. został po raz drugi mianowany administratorem Warmii. Krzyżacy nadal pustoszyli i nękali ciągłymi napadami Warmię. Przez 6 tygodni oblegali Lidzbark, stolicę Biskupstwa Warmińskiego. Załoga broniła się z uporem i Krzyżacy straciwszy kilkuset zabitych zrezygnowali ze zdobywania zamku. Zajęli natomiast Dobre Miasto zagrażając Olsztynowi.

2. Pod kierownictwem Kopernika pospiesznie przysposabiano Olsztyn do obrony. Wzmacniano bramy, oczyszczano przedpola murów, zwożono zapasy żywności, kopano zapasowe studnie.

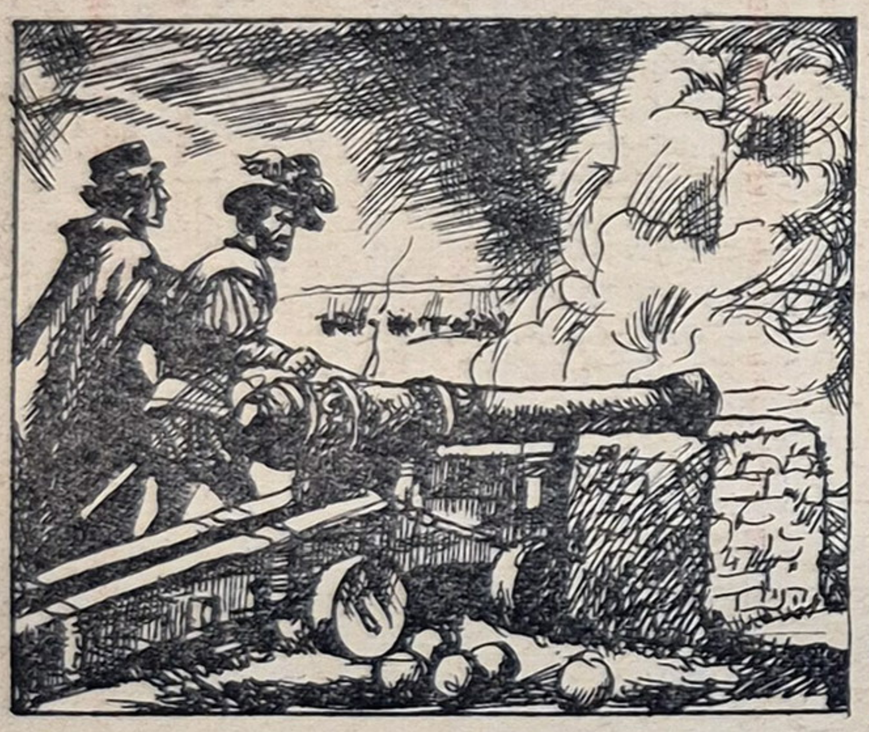

3. Na mury wciągano nowe działa i magazynowano kule. Sam Kopernik wybierał miejsca dla dział tak, aby kąt ostrzału był jak największy.

4. Kopernik przywołał Hieronima i rzekł:

— Weź paru zaufanych ludzi i w nocy wykopcie ze stajni pod murem tajne przejście na zewnątrz. Ale tak, aby tego nikt nie widział.

5. Wobec zagrożenia krzyżackiego w zamku zaroiło się od ludzi z okolicy. Do tego przybyło 100 zaciężnych przysłanych przez króla. W zamku nie było już miejsca do spania, ludzie mimo pory jesiennej biwakowali pod murami.

6. Kiedy nastała noc, Hieronim z ludźmi wzięli się do roboty.

— Mur głęboko w ziemi siedzi, nie damy rady się podkopać.

— To będziemy przebijać się przez cegły — powiedział Hieronim. — Rozkaz Kopernika musi być wykonany.

7. Nagle Hieronim spostrzegł w świetle łuczyw, w szparze uchylonych drzwi, rudą brodę i twarz, której nie mógł nigdy zapomnieć. Twarz mordercy swego ojca.

C.d.n.

BOILEAU – NARCEJAC

WIDMO w zamku KERMOAL

Tłum. Anna Węgrzyn

Szofer w oliwkowym uniformie z błyszczącymi guzikami czytał gazetę rozłożoną na kierownicy. Nawet nie podniósł oczu, kiedy mijał go samochód chłopców.

— Tym razem partia jest przegrana — powiedział François.

Wyskoczył z samochodu i pobiegł do Marguerite dowiedzieć się o co chodzi. Po drodze natknął się na Jaouenów, którzy prowadzili grubego blondyna.

— To właśnie syn pana Robiona — oświadczył Jaouen.

Mężczyzna przedstawił się podając rękę:

— Van der Troost. Bardzo mi miło.

Miał na sobie elegancki szary garnitur, który tracił jednak nieco na wyglądzie z powodu otyłości właściciela. Wydawał się wesoły, pełen radości życia i z miejsca budził sympatię.

— Mieszkam w Amsterdamie — oświadczył. — Mam zamiar kupić posiadłość w tym... w tej... to znaczy tu. Uwielbiam. Proszę wybaczyć. Nie mówię dobrze po francusku.

— Czy to notariusz pana przysłał? — zapytał François.

— *Ja*. To notariusz.

— Czy podał panu cenę?

— *Ja*. Cena bardzo interesująca. Piękny zamek.

— Pan przyjechał z Amsterdamu?

— Nie... Nie z Amsterdamu, z Porspoder. Wynająłem willę „Mewa" dla mojej rodziny, która też wkrótce przyjedzie.

François nadstawił ucha. Kto to mu niedawno wspominał o Porspoder? Ach tak, ksiądz Flohic mówiąc o hrabim de Trevor. Zabawny zbieg okoliczności.

Van der Troost wyjął z wewnętrznej kieszeni eleganckie etui, wybrał cygaro, błysnął złotą zapalniczką.

— Można zobaczyć? — zapytał.

— Oczywiście — odpowiedział niechętnie François.

Ruszył przodem. Holender podobał mu się, ale jego widoczne bogactwo przejmowało chłopca obawą. Wdał się w normalne w takich wypadkach objaśnienia: zamek splądrowany podczas wojny, dzieła sztuki skradzione... Z dumą podkreślił fortunę dziadka Robiona. Niech sobie ten Van der Troost nie wyobraża, że ma do czynienia z byle kim. Jeśli sprzedają zamek, to dlatego, że tak im wygodniej.

— Wojna... Straszne! — powtarzał Holender.

François myślał, że Van der Troost, tak jak poprzednio Duchizeau, będzie wysuwał zastrzeżenia. Nic z tych rzeczy. Podziwiał, zachwycał się. To François próbował go zniechęcić, postukiwał w boazerie:

— Jak z tektury. Wszystko spróchniałe, rozlatuje się w kawałki — powtarzał słowa Duchizeau.

Holender uśmiechał się i odpowiadał:

— Moje przedsiębiorstwo naprawi.

W ten sposób François dowiedział się, kim jest Holender. Kierował cementowniami. „Ale mam szczęście — myślał François. — Ze wszystkich możliwych nabywców musiałem trafić na jedynego, który może restaurować Kermoal nie wydawszy grosza".

— Należałoby wszystko zrównać z ziemią — rzucił obserwując ukradkiem Van der Troosta.

Holender aż podskoczył.

— Nigdy! — krzyknął. — Zbyt piękna siedziba.

— To jeszcze nic — ciągnął François porwany przez demona przekory. — Żeby pan widział ten zamek wtedy, kiedy była jeszcze baszta!

— Każę zrekonstruować... baszta — powiedział niewzruszony Van der Troost.

François zaniechał walki. Ale Van der Troost, niezmordowany, chciał również przejść się po landach. Zachowywał się już jak właściciel. Poszli między krzakami jałowca i tarniny.

— A ta mała rzecz? — zapytał Holender.

— To stara kaplica — niedbale powiedział François.

— Czy jest też.. historyczna?

— Oczywiście!

— Bardzo interesujące. Uwielbiam!

Potwór! Uwielbiałby wszystko, co zniszczone. Taki to najchętniej kazałby budować ruiny.

Zaczął padać deszcz, mżawka, która owiewa twarz jak oddech. Niewzruszony Van der Troost rozglądał się w zamyśleniu.

— Chciałbym znać historię... wszystkiego — zatoczył krąg ręką.

François był uczciwy. Zawahał się zaledwie przez moment:

— Mogę panu opowiedzieć historię tej kaplicy — powiedział. — Ale schowajmy się do środka, bo inaczej zupełnie przemokniemy.

W ciasnym budyneczku, gdzie z ledwością obaj się zmieścili, François opowiedział historię Kaplicy Przebaczenia. W panującym tu półmroku opowieść nabierała cech prawdy, która napełniała François strachem. Deszcz przesłaniał landy, huczały fale i może gdzieś tam, niedaleko, błądził widmowy koń.

Holender słuchał zachłannie, pełen zachwytu, z rozchylonymi ustami.

— Świetnie! — mruczał. — Moja rodzina uwielbiać.

Spojrzał na zegarek.

— Och! Chyba nadużywam... muszę już iść.

Puścili się biegiem zgięci wpół pod ulewą w stronę zamku. Kierowca wysiadł z samochodu — zdjął czapkę i otworzył drzwiczki. Był świetnie wyszkolony. Van der Troost zagłębił się w wozie i wyciągnął rękę.

— Do widzenia. Bardzo wspaniałe... Wrócę.

Limuzyna ruszyła po cichu jakby płynąc. Szara karoseria natychmiast znikła w deszczu.

— Chodź się rozgrzać — powiedziała Marguerite. — Jeszcze się przeziębisz.

Wszyscy byli już w domu i rozmawiali o ostatniej wizycie.

— Tym razem — odezwał się Jaouen — mam wrażenie, że to coś poważnego. Jak można być tak bogatym?!

Czy to z powodu niepogody, czy ze zmęczenia, wydawali się przygnębieni.

— Mówiłeś mu o koniu? — zapytał Jean-Marc.

— Coś ty! Opowiedziałem mu tylko dzieje Kaplicy Przebaczenia. Mam wrażenie jednak, że byłby zachwycony, gdyby kupił jeszcze na dodatek konia-widmo.

Marguerite wzniosła oczy do nieba.

— Nie trzeba, mój chłopcze, żartować.

Jaouen stanął na progu i orzekł:

— Burza będzie w nocy. Dziwiłbym się, gdyby było coś słychać.

— Wszyscy będziemy czuwali — powiedziała Marguerite, kładąc rękę na ramieniu François.

Pomału zapominali o Van der Troostie. Myśleli już tylko o nadchodzącej nocy.

Godziny płynęły posępne, bez końca. Wiatr ciągle przybierał na sile.

Jaouen przemierzał strychy, nasłuchiwał. Prawie wszędzie stały miednice i cebrzyki na przeciekającą wodę. Przy takiej pogodzie z pewnością powstaną nowe przecieki. Jean-Marc dłubał w swym laboratorium. Urządził sobie mały, ale dobrze wyposażony warsztat i w wolnych chwilach konstruował miniaturowe zdalnie kierowane modele.

Wcześnie zapadła noc. W milczeniu zjedli kolację. Deszcz ustał, ale było to tylko chwilowe — gdzieś daleko przetaczały się grzmoty.

— Noc, że psa nie wygnać — mruknął Jaouen.

A koń? Nierealny koń, żyjący poza czasem?

François nie miał cienia wątpliwości. Koń przybędzie i przyniesie cierpiący cień de Brigognana.

Czuwanie

Rozsiedli się w pokoju François. Ogień trzaskał wesoło, ale oni byli pełni napięcia, niespokojni. Jean-Marc przyniósł fotele z sąsiedniej komnaty. Jaouen przyszedł z dzbankiem jabłecznika, a Marguerite z naleśnikami. Przeraźliwie błękitne błyskawice przecinały od czasu do czasu niebo, zebrani wzdrygali się wtedy odruchowo. To jedna z burz wiosennego zrównania dnia z nocą, z jej wichurą, niespodziewanymi chwilami ciszy i nowymi atakami, którym towarzyszy czasami huk gromu.

François próbuje się zastanowić, skupić, ale nie może zebrać myśli.

Jak zdobyć się na rozumny pomysł w tak niedorzecznej sytuacji?

Marguerite albo przesuwa paciorki różańca, albo napełnia szklaneczki i częstuje naleśnikami. Jean-Marc śledzi wskazówki zegarka. Jaouen pali wydmuchując wielkie kłęby dymu. François chodzi od kominka do okna, od okna do kominka. Wiatr pewnie zagłuszy odgłos kopyt i chyba czuwają niepotrzebnie, bo i księżyca nie widać. Za to koń zostawi na pewno ślady na mokrym piasku. Albo też nie pojawi się.

C.d.n

Ilustrował BOGDAN ZIELENIEC

Spróbuj Rozwiąż

ŚWIĄTECZNY PRZEKŁADANIEC

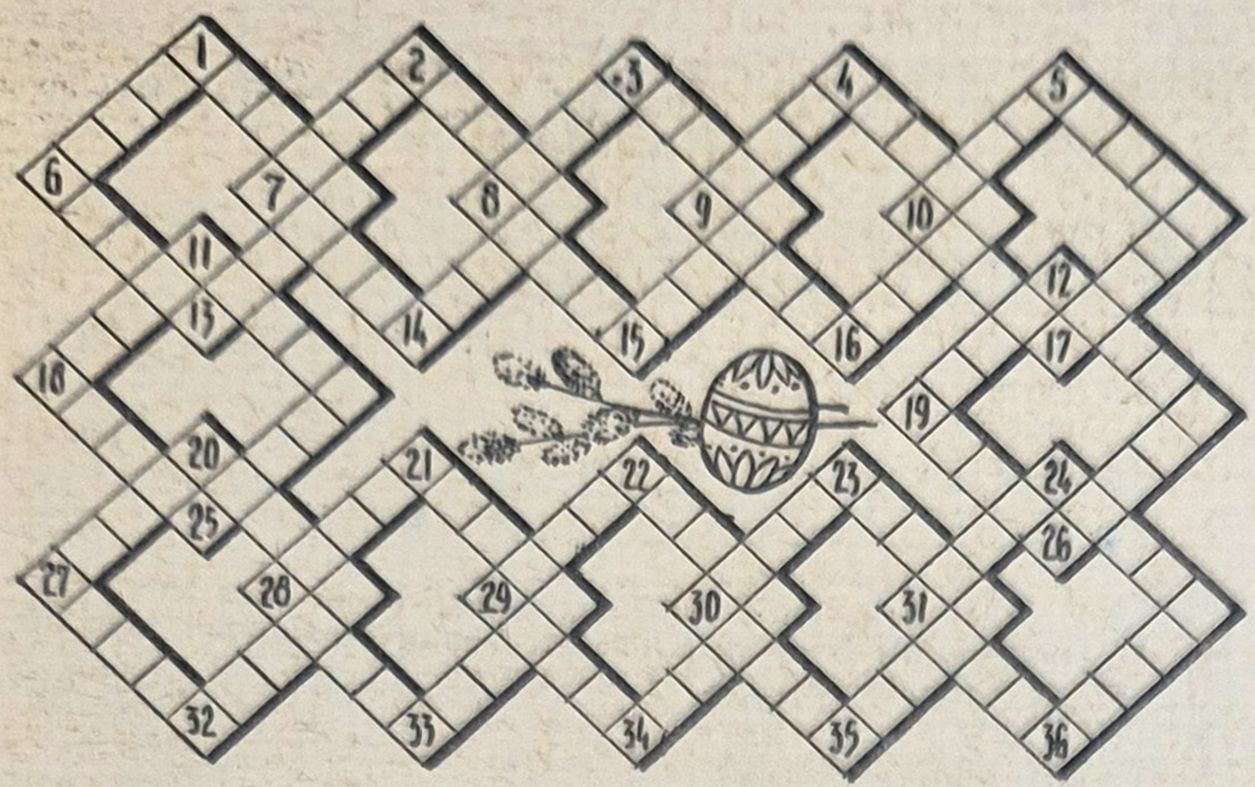

PRAWOSKOŚNIE W DÓŁ:

1) nie jedno na wielkanocnym stole, 2) kończy obiad, 3) tradycyjne — w poniedziałek wielkanocny, 4) w uczniowskim tornistrze, 5) owad w powijakach, 6) współtwórca „Świata Młodych", 7) potrzask albo... powieść Kruczkowskiego, 8) najpopularniejsza na naszych stołach ryba. 9) coś z mielonego mięsa albo... fiasko, niepowodzenie, 10) wypływa z bajki, 11) litera w literze i ma pierze, 12) manekin, 18) muł, ale nie zwierzę, 19) znosi nasz ciężar, 20) czasem wyręcza budzik, 21) zieleń albo czerwień, 22) miasto festiwali piosenkarskich, 23) nieodzowna na mapie, 24) coś bardzo cennego, 27) w karabinie albo... w kukurydzy, 28) w porzekadle ze ścianą, 29) gigant, olbrzym, 30) zboże w którym skryła się przepióreczka, 31) nie jeden w zaroślach.

PRAWOSKOŚNIE W GÓRĘ:

6) na głowie Hindusa, 7) magazyn, 8) drobiazg, szczegół, 9) placówka „Ruchu", 10) dla zasłużonego, 13) jeden ze środków masowego przekazu, 14) często bywa kimś innym, 15) nie jedno w herbarium, 16) kojarzy się z kratą, kobzą i sknerstwem, 17) w naboju i na rybie, 18) egoista, 19) ptak wiosenny, 25) przysmak jedwabników, 26) zorganizowane działanie, 27) grzyb albo taniec, 28) w porzekadle z pętelką, 29) owocowy symbol dobrych interesów, 30) pokaz, parada, rewia, 31) kara dla malucha, 32) jedna z harcerskich akcji, 33) godność, cześć albo... zaszczyt, 34) często decyduje o wygraniu wyścigu, 35) jest i za 3 grosze, 36) kwietnik, gazon.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: **„Świąteczny przekładaniec"**. Do rozlosowania: 10 BONÓW KSIĄŻKOWYCH

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NRU 16 (2216)

Logogryf: Rok Kopernikowski (ocena, urwis, morka, ukrop, okowy, dorsz, epoka, remis, prasa).

Za dobre rozwiązanie bony książkowe wylosowali: 1) **Mirosława Bączyk** — Międzychód, 2) **Bogdan Grabek** — Nowy Dworek, 3) **Ewa Bolek** — Żary, 4) **Natalia Jelonek** — Truskolasy, 5) **Grażyna Kawaler** — Białystok, 6) **Irena Łuc** — Choszczno, 7) **Aldona Majer** — Świnoujście, 8) **Stefania Maroszek** — Bytom, 9) **Piotr Mazur** — Sanok, 10) **Elżbieta Ręczkowska** — Zdziar Wielki.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 24 (2224)

Arytmograf obrazkowy: Jeżeli nie przyznajesz się do błędu popełniasz błąd drugi (grzyb, pudło, dąb, sęp, lina, jeż).

Za dobre rozwiązanie bony książkowe wylosowali: 1) **Bogdan Demidowski** — Kielce, 2) **Stefan Grzesik** — Starzyny, 3) **Stanisław Froń** — Radzionków, 4) **Barbara Kożuchowska** — Dobrzelin, 5) **Maryla Kucharewicz** — Mielec, 6) **Ania Stawiarska** — Kielce, 7) **Marek Spytkowski** — Mikoszewo, 8) **Anna Wiśniewska** — Międzyrzecz, 9) **Marek Zajączkowski** — Białystok, 10) **Jerzy Zaręba** — Terespol.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 25 (2225)

Labirynt: Bez koguta także świta.

Za dobre rozwiązanie bony książkowe wylosowali: 1) **Wojciech Ansion** — Słupca, 2) **Krzysztof Galancik** — Łódź, 3) **Barbara Hankowska** — Czechowice-Dziedzice, 4) **Adam Kądziolka** — Kańczuga, 5) **Andrzej Kowalczyk** — Węgorzewo, 6) **Janina Nawracała** — Poznań, 7) **Mirosław Ryszka** — Płochocin, 8) **Wojciech Spryszyński** Kłodawa, 9) **Jacek Tolubiński** — Świdnik, 10) **Grzegorz Woliński** — Kraśnik Fabryczny.

NIBY BOCIAN NIBY CZAPLA

Ale ani bocian, ani czapla, tylko sam w sobie dziwny, rzadki ptak z tej samej rodziny. Nazywa się po łacinie balaeniceps rex, a po polsku śmiesznie — trzewikodziób. Ptak ten ma ogromną w stosunku do tułowia głowę i dziób w kształcie holenderskich drewnianych sabotów. Bacznie się mu przypatrując, spostrzegamy jego minę filozofa i ogromne, żywe, inteligentne oczy. Żyje na błotnistych obszarach w Sudanie, w Katandze, w okolicach jeziora Upemba. Jest chroniony i mało znany. Szczegóły jego życia nie zostały jeszcze dokładnie wyjaśnione, gdyż nikt z uczonych nie obserwował go przez dłuższy czas. Jaką liczbę jajek znosi, jak buduje gniazdo, jak długo wysiaduje jajka — nie wiadomo. Pewne jest, że prowadzi życie osiadłe i nie wędruje jak jego kuzyni — czaple, bociany, ibisy. Szybko też się oswaja, je z ręki i lubi, gdy się go gładzi po głowie. Żywi się głównie rybami, nie gardzi też żabą i innymi zwierzętami wodnymi. Jest słusznego wzrostu (ponad 1 m), ma szare piórka. Można go podziwiać w ZOO w Antwerpii. Przybył tu z rodzinnego kraju, dalekiej Mufungi, która znajduje się na obszarze Mitwaba około 50 km od parku narodowego Upemba w Katandze. (bt)

„La vie des bétes"

GRUNT, PANOWIE ORAZ PANIE — RACJONALNE ODŻYWIANIE!

Są tacy, którzy w nadmiernej trosce o zaspokajanie apetytu, bo przecież nie głodu, objadają się czym popadnie, jak popadnie i kiedy popadnie, a ilościowo przesadnie, nie żałując sobie zwłaszcza słodyczy. Chodzą otyli, zasapani, nieruchawi.

Są owacy, którzy w nieprzejednanej niechęci do jedzenia przebierają w nim jak w ulęgałkach, krzywią się to na jarzyny, to na ser, to na mleko, a jeżeli już coś zjedzą do końca, to w kominie węglem trzeba by zapisać. Chodzą wyblakli, „słabosilni", smętni, z nosami na kwintę.

Wy nie jesteście ani tacy, ani owacy. Wy chcecie prawidłowo rozwijać się, szybko rosnąć, mieć zdrowe, mocne zęby, ładną cerę, bujne włosy, silne kości, sprawne mięśnie, bystry umysł, zawsze dobry humor i energię kto wie czy nie do olimpijskiego wyczynu sportowego.

W dużym stopniu zależy to od was samych, a szczególnie od tego, jak się odżywiacie, czy dostarczacie w porę swemu organizmowi tego, co mu jest najbardziej potrzebne.

Głodu ilościowego na pewno nie cierpicie, ale możecie nie wiedzieć o tym, że dolega wam **głód jakościowy,** czyli brak poszczególnych niezbędnych składników pokarmowych w spożywanych nawet do syta potrawach, na przykład niektórych witamin, składników mineralnych itd. Niekiedy jest to skutek lekkomyślnego forsownego odchudzania się.

Wynikiem długotrwałego głodu jakościowego jest początkowo uczucie niepokoju i ograniczenie aktywności, następnie zahamowanie wzrostu, próchnica zębów, znaczne osłabienie, skłonność do zachorowań.

Zapobiega temu **odżywianie racjonalne,** to znaczy zapewniające organizmowi niezbędne składniki dostarczające **budulca, energii i regulujące procesy fizjologiczne.** Racjonalnie — to znaczy rozsądnie, a więc z pożytkiem dla zdrowia, w granicach możliwości finansowych i bez nadmiernej straty czasu na przygotowanie.

W związku z tym ogłaszamy KONKURS Z NAGRODAMI pod hasłem:

GRUNT, PANOWIE ORAZ PANIE — RACJONALNE ODŻYWIANIE!

Szczegóły na str. 16

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. RED. Nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa, Książka, Ruch". Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Książka, Ruch". W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4,30, kwartalna zł 13,00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa, Książka, Ruch" W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Prasa, Książka, Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa, Książka, Ruch", Warszawa, ul. Towarowa 28. Adres redakcji: Mokotowska 24, 00—561 Warszawa. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35939.

Zam. 1194. R-75

- 14 NAGRÓD PO 1000 ZŁ!
- UCZESTNICY WYBIERAJĄ NAGRODY SAMI!

Wielki KONKURS Świąteczny

Przeczytaj najpierw tekst na str. 15

Takiego konkursu jeszcze nie było. Zawiera on zadania dosyć trudne, wymagające uzupełnienia własnej wiedzy, znalezienia potrzebnych informacji w książkach lub zapytania o nie innych osób. Macie jednak sporo wolnego czasu i warto chyba pokusić się o 1000-złotową nagrodę lub jej część. NAGRODY UFUNDOWAŁO BIURO WSPÓŁPRACY Z KONSUMENTEM „OPINIA" W WARSZAWIE.

Tym razem wyniki konkursu posłużą nie tylko za podstawę do rozdziału nagród, ale będą przedmiotem badań naukowych. Właśnie wy możecie się do nich przyczynić!

ZADANIE I ZA 200 ZŁ

Wyobrażona na rysunku postać symbolizuje ORGANIZM LUDZKI. Zagubił się on w stercie rozmaitych składników.

Pomóż mu odnaleźć 6 PODSTAWOWYCH SKŁADNIKÓW ODŻYWCZYCH nieodzownych do jego rozwoju, a więc dostarczających mu budulca, energii i regulujących procesy życiowe.

Wybrane składniki wypisz kolejno na trzymanej przez postać planszy. Jeżeli nie chcesz psuć numeru, możesz przepisać składniki na kartkę opatrując ją liczbą rzymską I.

ZADANIE II ZA 300 ZŁ

Przypatrz się uważnie rysunkowi spiżarni i wynotuj na kartce jeden pod drugim wszystkie zauważone produkty.

Obok nazwy każdego produktu napisz JAKIE PODSTAWOWE SKŁADNIKI ODŻYWCZE NIEODZOWNE DLA ORGANIZMU ZAWIERA TEN PRODUKT.

Składniki NAJWAŻNIEJSZE w danym produkcie podkreśl ołówkiem czerwonym, a składnik występujący w danym produkcie W NAJWIĘKSZEJ ILOŚCI — ołówkiem ZWYKŁYM.

Posłuż się tu składnikami z rozwiązania zadania I.

WARUNKI KONKURSU

1. W konkursie **mogą brać udział** w zasadzie **uczniowie klas VII i VIII.** Jeżeli jednak samodzielne i dobre rozwiązanie nadeśle młodszy czytelnik, weźmie ono udział w przyznawaniu nagród.

Nie mogą brać udziału uczniowie szkół gastronomicznych.

2. Przeczytaj uważnie trzy zadania konkursowe oznaczone liczbami rzymskimi. Żeby rozwiązać **cały konkurs** i mieć prawo do ubiegania się **o nagrodę wartości 1000 zł** najlepiej rozwiązywać je kolejno, bo z jednego zadania stopniowo wynikają następne, coraz trudniejsze.

3. Możesz jednak rozwiązać tylko **jedno** zadanie albo dowolnie wybrane **dwa.** Wówczas nagroda będzie odpowiednio **mniejsza.** Za rozwiązanie **zadania I** przewiduje się nagrodę wartości **200 zł, zadania II — 300 zł, a zadania III — 500 zł.** Decyzja należy do ciebie.

4. Po rozwiązaniu zadań przerysuj albo wytnij, wypełnij i naklej na kopertę w miejsce adresu nadawcy KUPON KONKURSOWY. **Bez kuponu rozwiązanie jest nieważne.**

5. Do rozwiązanych zadań dołącz własne życzenie, **jaką nagrodę pragniesz otrzymać.** Nie może ona przekraczać wartości rozwiązanych przez ciebie zadań, a więc w najlepszym wypadku — 1000 zł i powinna być dostępna na rynku krajowym.

6. Rozwiązanie wyślij **do dnia 5 maja 1973 r.** pod adresem: **BIURO WSPÓŁPRACY Z KONSUMENTEM „OPINIA", TAMKA 38, 00-355 WARSZAWA.** Pod adresem umieść dopisek **„Racjonalne odżywianie".**

KUPON KONKURSOWY

Nadawca:

Imię i nazwisko . . . . . .

Dokładny adres . . . . . .

. . . . . Wiek . . . lat

Dziewczynka Chłopiec *) | Wieś Miasto *)

Rozwiązanie zadań . . . . . (Tu wpisać rzymskie cyfry zadań)

*) niepotrzebne skreślić

ZADANIE III ZA 500 ZŁ

Masz przed sobą pustą rubrykę jadłospisu na pierwszy dzień tygodnia. Wytnij ją i doklej do niej kartkę szerokości zeszytu szkolnego. Jeżeli nie chcesz wycinać, przerysuj samą rubrykę.

Zaplanuj na wszystkie dni tygodnia jadłospis dla jednej osoby, najlepiej dla siebie.

Posiłki powinny być pożywne, urozmaicone, smaczne, łatwe do przyrządzania i niedrogie.

NAJWAŻNIEJSZE jest to, żeby zestaw posiłków w ciągu całego tygodnia składał się z produktów zawierających WSZYSTKIE PODSTAWOWE SKŁADNIKI ODŻYWCZE NIEZBĘDNE DLA ORGANIZMU. Jeżeli w jednym posiłku lub w posiłkach jednego dnia brak lub jest za mało jakiegoś podstawowego składnika, należy go uwzględnić w innym posiłku lub w zestawie na inny dzień.

Posłuż się tu rozwiązaniem zadania II.

Jeżeli całego jadłospisu nie zmieścisz na jednej kartce, dołącz kartki następne.

Jadłospis

PONIEDZIAŁEK	ŚNIADANIE	II ŚNIADANIE	OBIAD	KOLACJA